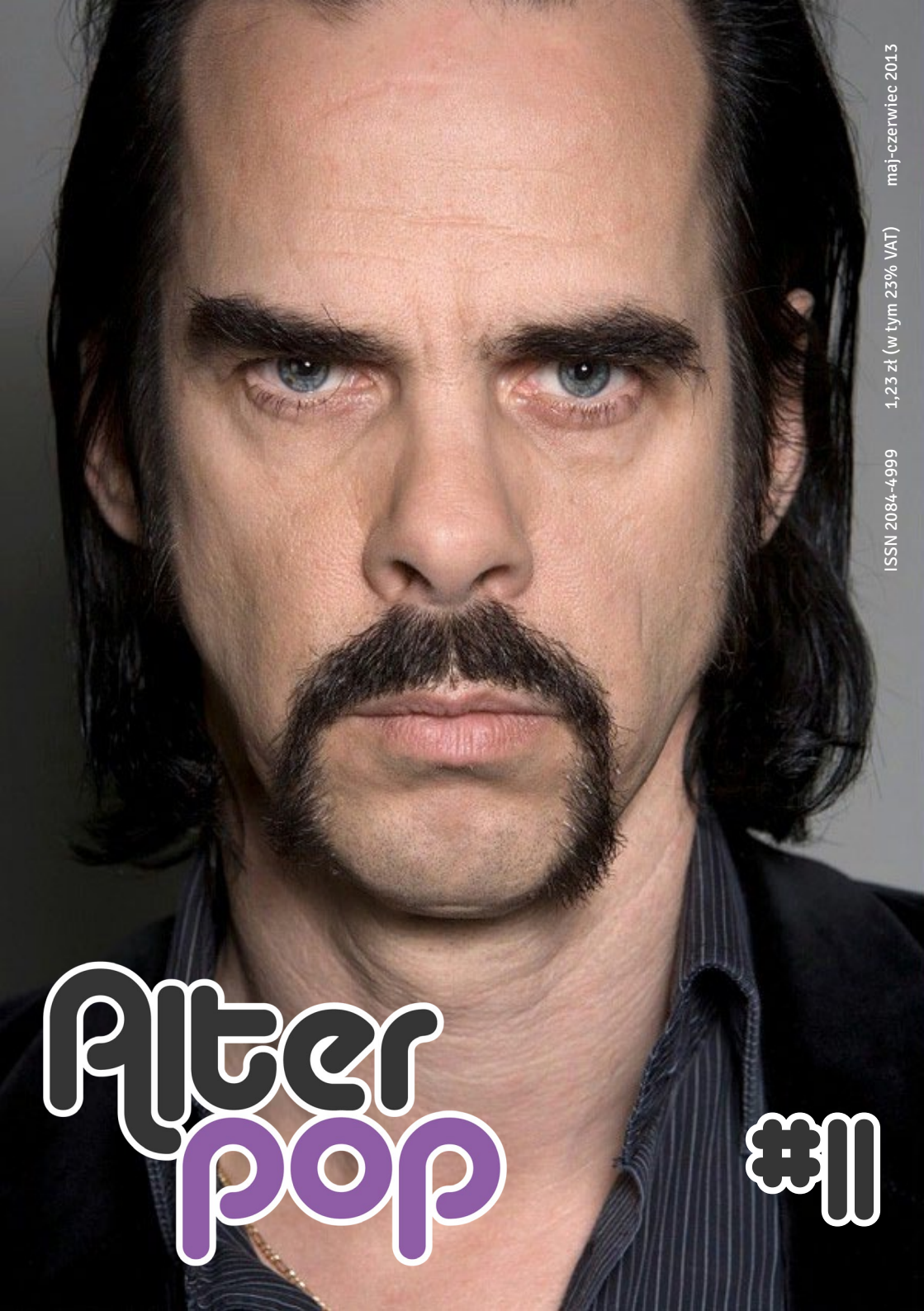




Alter
pop

#11

ISSN 2084-4999

1,23 zł (w tym 23% VAT)

maj-czerwiec 2013

Dźwięk:

Obraz:

Słowo:

Interakcje:

Alter
pop
MAG E-ZINE

numer 11
maj-czerwiec 2013
ISSN 2084-4999

Redaktor naczelny

Tadeusz Bisewski

Redakcja

Kamil Downarowicz
Karolina Joisan
Maciej Kaczmarek
Ana Matusevic
Agnieszka Młynarczyk
Wojciech Onyśków

Korekta

Wydawnictwo EKWITA
www.ekwita.pl

Wydawca

Alterpop Media s.c.
ul. Śląska 35/37
81-310 Gdynia

PREMIERY *plytowe*

Primal Scream

More Lights

Podobno niektórzy ludzie potrafią bawić się bez alkoholu i narkotyków. Spróbować tego członkowie Primal Scream. Odstawili wszystkie używki, obwieścili światu, że są czysti, pełni pozytywnej energii i motywacji do nagrywania nowych kawałków i występów na żywo. Można odetchnąć z ulgą, że jeszcze nie odnaleźli w sobie Chrystusa...

Zwrócili się za to do innego proka – Davida Holmesa, znanego i cenionego producenta, który wyprawiał już cuda z remiksami nagrań U2, Manic Street Preachers czy Dove. Tutaj także daje się wyraźnie odczuć jego obecność. **More Lights** to płyta bardzo udana, niezwykle eklektyczna w swojej formie. Muzycy czerpią pełnymi garściami z bogatych zasobów psychodelicznego rocka lat 60., współczesnych klubowych trendów i motorycznych krautrockowych rytmów. Pojawiają się nawet elementy bluesa oraz dźwięki przywołujące w wyobraźni krajobrazy Dalekiego Wschodu. Całość jest spójna i diabelnie przekonująca. Aha, zaleca się słuchać na trzeźwo.



Lillte Boots

Nocturnes

Aż trzy lata musieliśmy czekać na nowy materiał Victorii Hesketh. Materiał, który w znacznej mierze różni się od tego, co mieliśmy okazję usłyszeć na **Hands**. Wciąż jest to pop, jednak tym razem na usługach nocnych klubów z głośną muzyką taneczną. W sumie nie powinno to nikogo dziwić, bo Victoria jest także znaną w branży DJ-ką. Czy warto wpaść do niej na imprezę? Niekoniecznie. Z jednej strony otrzymujemy szeroki wachlarz gatunkowy – od dyskotekowych przestrzeni lat 70. (**Beat Beat**) poprzez surowy house początku lat 90. (**Shake**), współczesny, odjechany electropop (**Motorway**) do skocznej odmiany nowej fali (**Crescendo**). Natomiast z drugiej strony brakuje na **Nocturnes** wyrazistych przebojów, w których zakochamy się od pierwszego przesłuchania. Piosenki są momentami przydługie, przez co tracą dodatkowo na swojej atrakcyjności. Z makijażem typu „party” nie jest Hesketh do twarzy.



Yeah Yeah Yeahs

Mosquito

Jedyne, co nie podoba mi się w związku z wydaniem nowej płyty Brytyjczyków, to jej okładka. Jest naprawdę koszmarna. Być może jest to forma żartu, ale jakoś nie trafiła on do mnie. Zupełnie inaczej sprawa wygląda z zawartością muzyczną **Mosquito**. Tutaj naprawdę ciężko się do czegoś przyczepić. Zespół istnieje już 10 lat i wciąż ma pomysł na



siebie i potrafi zaskakiwać. Nie każda grupa wywodząca się z rock'n'rollowej minirewolucji początku XXI wieku może się tym pochwalić. Choć YYYs skręcili ostro w stronę electropopu, nie porzucili do końca swoich korzeni. Dlatego zetkniemy się na tym albumie ze świetnymi riffami występującymi na równi z syntetycznymi dźwiękami. Po drodze otrzymamy się o chór gospel, rapowane wstawki i reggae. Karen jak zwykle uwodzi swoim głosem. Potrafi zedrzyć porządnie gardło, ale i namiętnie wyszeptać słowa ballady. Czyżby Yeah Yeah Yeahs był obecnie najlepszym zespołem indie? Do namysłu.

UL/KR

Ament

W 2012 roku debiutancki album gorzowskiej grupy odbił się donośnym echem w polskim środowisku alternatywnym. Szczerze powiedziawszy, dziwiły mnie te wszystkie ochy i achy, roztaczane nad tym wydawnictwem, i tak samo zaskakuje mnie niezwykle ciepłe przyjęcie **Amentu**. OK, fajnie, że zespół produkuje muzykę, która wpisuje się idealnie w zachodnie mody i jest „na czasie”, ale to chyba jednak za mało? Osoby znające się na rzeczy potrafią jednym tchem wymienić przynajmniej tuzin podobnych wykonawców. Ciężko też spojrzeć na Błażeja Króla jako na „snującego poetyckie wizje, natchnionego Kukiza”, bo w swoich tekstach niebezpiecznie zbliża się momentami do poziomu Piotra Roguckiego z Comy. Doceniam natomiast otwartą formułę, jaką zastosowali panowie z UL/KR. Podstawą są tutaj szumiące głębie z zanurzonymi

Skala ocen:

Space Ritual

Stairway To Heaven

To musi być miłość

Dusza diabłu sprzedana

Nadciąga noc komety

I Can't Get No Satisfaction

Welcome To The Jungle

Ta piosenka powstała dla pieniędzy

**

Mam tak samo jak ty

*

Kim jest człowiek,
jeśli nie człowiekiem tylko



w nich postindustrialnymi bitami oraz tajemniczo bulgoczącymi odgłosami. Kompozycje mają przystępny charakter, lekką senną atmosferę i mogą przypaść do gustu praktycznie każdemu. Przyzwoita płyta, ale nie warto robić afery.

Gloom

Subliminal Fortress

Tego pochodzącego z Oregonu multiinstrumentalistę, występującego obecnie pod pseudonimem Gloom, możecie kojarzyć z indie rockowego zespołu Circa Vitae. W kapeli pełnił on obowiązki wokalisty. W solowej twórczości nie usłyszymy już jego głosu, za to się dowiemy, jak radzi sobie z elektroniką. A radzi sobie znakomicie. **Subliminal Fortress** to EP-ka zawierająca sześć piosenek + trzy remiksy. Utwory oscylują wokół IDM-owej stylistyki, przyprószonej łagodną chilloutową mgiełką, wzbogaconą o dubstepowe naleciałości. Brady nie boi się sięgać po żywe instrumenty, co dodaje jego kompozycjom dodatkowego uroku. I tak np. partia pianina w **Streams** fantastycznie wpisuje się w uwypukloną linię basu, podbarwioną sporadycznymi uderzeniami ksylofonu. Warto też zwrócić uwagę na **Sore Throat**, który brzmi jak John Talabot na zwolnionych obrotach. W **Weep and Rattle** pobrzmiewają przetworzone gitarowe motywy i coś na kształt harfy? Nic dziwnego, że pod koniec kawałka klimat robi się sielsko-anielski. Zresztą cały album charakteryzuje się niezwykle ciepłym brzmieniem. Płyta ma tylko jedną poważną wadę. Można się przy niej za bardzo rozleniwzić...

Opracował: *Kamil Downarowicz*



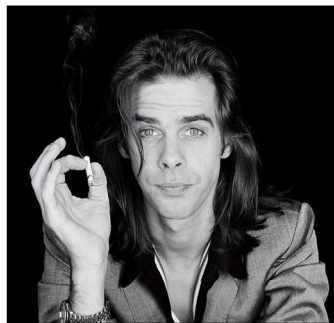
Muzyczne apokryfy Nicka Cave'a

Zadziorny punkowiec, posępny poeta, dostojny artysta, religijny freak – tymi epitetami określano Nicka Cave'a w jego ponadtrzydziestoletniej karierze. Właśnie wydał, wraz ze swoim zespołem (The Bad Seeds), album ***Push The Sky Away*** i latem przyjeżdża do Polski. Przy tej okazji warto poświęcić kilka słów twórcy ***Ballad o morderstwach***.

„Jest pewna określona liczba piosenek o cipach, morderstwach i Bogu, które możesz napisać. Mnie jeszcze trochę ich zostało”.

W drugiej połowie lat 70. nastąpił wysyp zespołów z pogranicza gotyku, nowej fali czy death rocka. Margaret Thatcher dochodziła powoli do władzy, zapowiadając epokę neoliberalizmu, zimna wojna trwała w najlepsze, mur berliński wydawał się wieczny, hippisowskie ideały dawno straciły ważność, a pierwsza fala punka rozsiewała nihilistyczne ziarna w umysłach młodych ludzi. Nic dziwnego, że w takich warunkach artyści zwrócili się w stronę mroku – ówczesne czasy nie sprzyjały snuciu wizji miłości i pokoju. To właśnie wtedy, na ziemiach Australii, do życia powołany został zespół Concrete Vulture. Pięciu znajomych ze szkolnej ławy chwyciło za instrumenty i zaczęło

dawać czadu. Po kilku przetasowaniach w składzie i kombinowaniu z brzmieniem kapela zmieniła nazwę na The Boys Next Door. Stałymi członkami grupy byli: Nick Cave, Mick Harvey oraz Phill Calvert. The Boys Next Door wydali jeden długogrający album ***Door, Door***, minialbum ***Hee Haw*** oraz kilka singli. Zyskali uznanie dzięki dziwkiej energii zaprężniętej w rozszalałą post-punkową maszynierię.



Nick Cave



W 1980 roku drużyna Cave'a zmieniła sztyl na The Birthday Party i wypłynęła na głębsze morze popularności, stając się zespołem otoczonym swoistym kultem – który przetrwał do dzisiaj. Co ciekawe, wielu ówczesnych dziennikarzy muzycznych postrzegało The Birthday Party jako zespół gotycki, co niemiłosiernie wkurzało samych zainteresowanych. Aby obśmiać to zjawisko, wydali singiel **Release The Bats...** jednak uzyskali dokładnie odwrotny efekt. Etykieta „gotyku” na stałe przykleiła się do nich, a sam utwór stał się najbardziej rozpoznawalnym tytułem w historii grupy. Miało być śmiesznie, a wyszło nader poważnie.

Czym The Birthday Party wyróżniali się wśród innych podobnych twórców? Przede wszystkim podejmowanymi tematami. Mało kto śpiewał wtedy o Biblii, grzechu, religijnej interpretacji zła i o Starym Testamencie. Niezwykle wyrazisty i charyzmatyczny frontman hipnotyzował swoim głosem i fascynował wyglądem. Do legendy przeszedł teledysk do utworu **Nick The Stripper** z 1981 roku, w którym widzimy chudego wysokiego chłopaka, przyozdobionego napisem HELL na obnażonej klatce piersiowej, oddające-

go się gwałtownemu tańcu na rurze czy wokół ogniska. The Birthday Party tworzyli wyjątkowy klimat, w którym ciężkostrawne i nieoczywiste dźwięki połączone z melodeklamacjami Cave'a tworzyły niepokojącą, chorą i diabelnie przekonującą, prawdziwą do bólu całość.

„Jeżeli nie mogę mieć na scenie piwa, to wracam do gardedrobry. Możecie przez najbliższe 3 godziny zabawić publiczność, opowiadając dowcipy”.

The Birthday Party to także okres twardych używek, alkoholu, licznych imprez i ekscesów ekipy z Melbourne. Ile można tak pociągnąć? W przypadku naszych bohaterów trwało to 10 lat. Doszły do tego konflikty wewnętrzne zespołu i wypalenie artystyczne. W 1984 roku The Birthday Party przestało istnieć, a w roku 1986 wydana została płyta **From Her to Eternity** sygnowana już przez Nick Cave and the Bad Seeds. Szeregi grupy zasilili Blixa Bargeld, Barry Adamson, Hugo Race oraz Mick Harvey. W pierwotnym składzie wymieniana także jest Anita Lane, ówczesna dziewczyna Nicka Cave'a (w przyszłości muzyk spotykał się także m.in. z PJ Harvey) i autorka kilku tekstów śpiewanych przez zespół. W trakcie pierwszego tournée po Australii do składu dołączył także były członek The Birthday Party – Tracy Pew. Do 1998 roku zespół grał brudny, szorstki postpunk wymieszany z garage rockiem. Cave zamiast śpiewać, wołał sobie powrzeszczeć, wydawać nieartykułowane odgłosy, piszczeć, wyć, skandować. Chuda, wysoka i ponura postać wokalisty stała się znakomicie znana wszystkim innym ponurakom.





The Birthday Party

Mroczny kaznodzieja na początku lat 80., po rozstaniu się z Anitą Lane, przeprowadził się do Berlina. W tym czasie powstawały kolejne albumy The Bad Seeds – *The Firstborn Is Dead*, *Kicking Against the Pricks*, *Your Funeral*, *My Trial*. W 1987 roku The Bad Seeds wystąpili w filmie Wima Wendersa *Niebo nad Berlinem*.

„Stałem w błocie za sceną i zobaczyłem starszego mężczyznę, który szedł w moją stronę. Kiedy do mnie dotarł, powiedział: »Chciałem tylko powiedzieć, że naprawdę podoba mi się to, co robisz«, a ja uświadomiłem sobie, że to Bob Dylan. Staliśmy tak w błocie nic nie mówiąc, aż zacząłem myśleć: »No dobrze, jeden z nas naprawdę powinien już pójść«”.

Dopiero na albumie *Tender Prey* ten wulkan pełen gniewu o nazwie Nick Cave and the Bad Seeds zaczął stygnąć. Zespół sięgnął po nowe środki wyrazu. Na przełomie lat 80. i 90. w muzyce Australijczyków pojawiły się wpływy bluesa czy klasycznego rocka. Psychodela i kakofonia przybrała formę niepokojących, mrocznych ballad, wygrywanych przy akompaniamencie pianina i przy użyciu minimalistycznej sekcji rytmicznej. Nowy melancholijno-dekadencki styl zespołu przetrwał do dzisiaj i nabrał najbardziej pełnego wyrazu w najnowszym wydawnictwie The Bad Seeds *Push The Sky Away*. Wcześniej zespół uwodził jeszcze publikę wspaniałymi pod każdym względem krążkami *Murder Ballads* (1996), *The Boatman's Call* (1997) i *Abattoir Blues/The Lyre of Orpheus* (2004). Słuchacze ocierali oczy



The Bad Seeds

ze zdziwienia, kiedy w piosence ***Where the Wild Roses Grow*** wokalnie Cave'a wsparła Kylie Minogue. Gwiazdka pop u boku mrocznego księcia? A jednak wypaliło. Kompozycja ta do dzisiaj chętnie grana jest przez komercyjne stacje radiowe, ale co ważniejsze, zdobyła także spore uznanie wśród bardziej wymagających słuchaczy.

Co nie zmieniło się w twórczości zespołu, to podejmowana tematyka.

Nadal dużo Biblii, mrocznych opowieści-przykazań, historii gwałtów i coraz to dziwniejszych plugastw, opisywanych ze szczegółami aktów przemocy i agresji. Na szczęście pojawiały się także promyki światła w tej mrocznej krainie. Miłość i nadzieja wciąż nie umarły w oczach Nicka Cave'a.

„Bóg, którego słyszałem, nauczał mnie, kiedy byłem w stajni, w mo-

jej purpurowej sułtanie. Złe myśli sączyły się przy drzwiach mojej wyobraźni”.

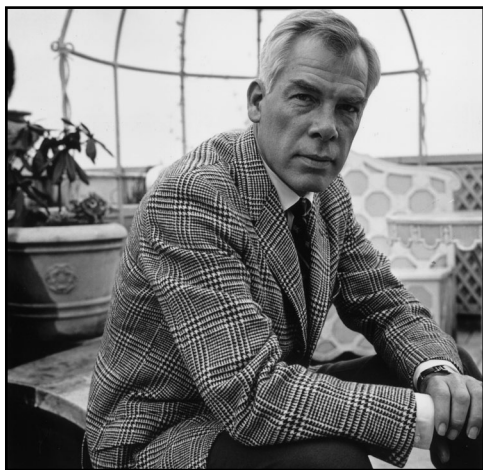
Mroczny bard z Australii rozumie chrześcijaństwo na swój własny, osobliwy sposób. Zafascynowany jest Starym Testamentem i często rozmyśla na jego temat. Widzi wszystkie paradoksy tkwiące w religii i próbuje sobie z nimi jakoś radzić. Śpiewa, że „nie wierzy w interweniującego Boga” i jednocześnie „nie wierzy w istnienie aniołów”. Zafascynowany jest – podobnie zresztą, jak wielu innych artystów – postacią Jezusa, ostrzega jednak wyraźnie w swoich tekstach przed fanatyzmem. Pragnie nawiązać relację z Bogiem i zrozumieć jego działania. Zapewne poprzez swoją muzykę udało mu się zwrócić uwagę Wszechmogącego na siebie...

„Push The Sky Away jest dla mnie dziecięcym widmem w inkubatorze”.

Nick Cave nie poprzestaje jednak na udzielaniu się tylko w jednym projekcie. To niezwykle płodny artysta, który ma głowę naładowaną wciąż nowymi, nietuzinkowymi pomysłami. W 1989 została wydana jego pierwsza powieść pod tytułem *Gdy oślica ujrzała anioła*, zaś w 2009 druga – *Śmierć Bunny’ego Munro*. Artysta jest współautorem wielu ścieżek dźwiękowych do filmów m.in.: *Ghosts... of the Civil Dead*, *Propozycja* czy *Zabójstwo Jessego Jamesa przez tchórzliwego Roberta Forda*. W 2007 roku fani stęsknieni za ostrzejszym i brutalniejszym wcieleniem swojego idola doczekali się powstania zespołu Grinderman. Nick w asyście Warren

Ellis – gitara, wokal wspierający, Martyn Casey – gitara basowa, gitara akustyczna, wokal wspierający oraz Jim Scavunos – perkusja, wokal wspierający znów zaczął dawać czadu. Grinderman oparł swoje brzmienie na rock’n’rollowej jeździe z maksymalnie przesterowanymi gitarami. Kapela niestety dzisiaj już nie istnieje, ale być może zostanie wskrzeszona w przyszłości.

Z ciekawostek można jeszcze nadmienić, że Cave jest także członkiem tajnego stowarzyszenia znanego pod nazwą Sons of Lee Marvin. Jest to tajny klub o humorystycznym charakterze, założony przez Jima Jarmuscha. Członkowie stowarzyszenia muszą wyglądać na tyle podobnie do amerykańskiego aktora Lee Marvina, aby móc uchodzić za jego synów. Podobno spotykają się oni raz do roku w celu wspólnego oglądania filmów, w których występował Marvin.



Lee Marvin

Czy warto wybrać się choćby tylko na jeden dzień Open’era, by zobaczyć The Bad Seeds w akcji? Powiedzmy, że jest to pytanie retoryczne.

Kamil Downarowicz

Sever Festival

music & more

2013
Węgorzewo
11-14 lipca



SCENA GŁÓWNA
PLAC KONCERTOWY
12 - 14 LIPCA, 18:00 - 02:00

PIĄTEK 12 LIPCA

UKEJE

SCENA GRAND PRIX

ANTI TANK NUN

OCN

FLAPJACK

Closterkeller

TIAMAT

(SWE)

SOBOTA 13 LIPCA

CLOCK MACHINE

SCENA GRAND PRIX

HARLEM

HUNTER
illusion

MY DYING BRIDE
(UK)

dark tranquillity

(SWE)

NIEDZIELA 14 LIPCA

KREUZBERG

SCENA GRAND PRIX

TEA

Diverside

COMA

SYMFONICZNIE

Korpiklaani

(FIN)

SCENA MUSIC & MORE
PLAC WOLNOŚCI
11 LIPCA, 18:00 - 01:00



VINTAGE

PORNO PARA RICARDO
(CU)

Box Canyon



Bethel

PARTNER GŁÓWNY



SPONSORZY:



PARTNERZY:



PATRONI:



Od popu do awangardy

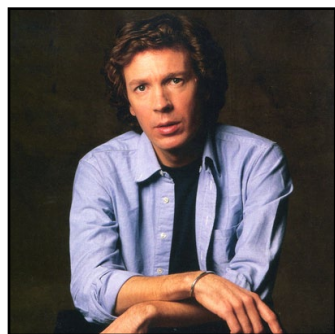
Scott Walker

Obecny na scenie muzycznej od ponad pięciu dekad. Wydał blisko 20 albumów studyjnych – zarówno solowych, jak i z grupą The Walker Brothers. Swego czasu sławą dorównywał **Beatlesom**, a do inspiracji jego twórczością chętnie przyznają się takie tuzy, jak **David Bowie**, **Brian Eno**, **Nick Cave** i członkowie **Radiohead**. A jednak Scott Walker do niedawna pozostawał postacią znaną głównie dwóm skrajnym grupom melomanów: fanom popu z lat 60. i nielicznemu gronu tropicieli muzycznej awangardy.

Urodził się 9 stycznia 1943 roku w amerykańskim Hamilton jako Noel Scott Engel. Był jedynym dzieckiem w zamożnej rodzinie, która zbiła majątek na ropie. Przez krótki czas studiował sztukę, ale ostatecznie wybrał muzykę. Już jako nastolatek pojawiał się w telewizyjnych programach muzycznych, zaś jego umiejętność gry na basie była na tyle dobra, że szybko zaczęto angażować go jako muzyka sesyjnego. Kreowany na idola nastolatków, pod koniec lat 50. wydał kilka nieznaczących singli pod własnymi pseudonimami, z których usunął pierwsze imię. Grał też w kilku zespołach, których nazw dziś nikt już nie pamięta.

W 1964 roku założył grupę The Walker Brothers Trio wraz z Johnem

Mausem i Alem Schneiderem (tego ostatniego zastąpił wkrótce Gary Leeds). Choć podpisywali się jako Scott, John i Gary Walkerowie, nie łączyły ich więzy krwi – był to zabieg czysto artystyczny. Po usunięciu z nazwy ostatniego członka i zdobyciu lokalnej popularności w Los Angeles „bracia”



Scott Walker



przeprowadzili się do Wielkiej Brytanii, gdzie podpisali kontrakt z wytwórnią Philips. Owocami umowy były trzy albumy z lat 1965–1967: **Take It Easy with The Walker Brothers** (w USA ukazał się pod tytułem **Introducing The Walker Brothers**), **Portrait** i **Images**.



The Walker Brothers

Love Her

Głównym wokalistą The Walker Brothers był Maus, ale dopiero zaśpiewany przez Engla **Love Her** stał się przełomowym singlem w historii zespołu, trafiając w czerwcu 1965 roku do brytyjskiego Top 20 i rozślawiając grupę – a Scottowi zapewniając pierwszeństwo przy mikrofonie. Zaledwie trzy miesiące później kolejny singiel, **Make It Easy on Yourself**, szturmem zdobył pierwsze miejsce na liście przebojów w Anglii, zaś na całym świecie sprzedał się w zawrotnej liczbie miliona egzemplarzy, czyniąc z „braci” gwiazdy globalnego formatu. Następne single radziły sobie równie dobrze. W pewnym momencie liczba członków fanklubu trza przewyższyła liczebność klubu zrzeszającego miłośników The Beatles.

Dobra passa nie trwała jednak długo. Kolejne utwory trafiały na coraz niższe pozycje w zestawieniach; Walkerowie nie nadążali – lub nie chcieli nadążyć – za zmianami w muzyce popularnej, przez co ich brzmienie zaczynało być coraz bardziej archaiczne. Zespół dodatkowo osłabiała przytłaczająca presja sukcesu oraz wewnętrzne konflikty. Scotta doprowadziło to do alkoholizmu i depresji zwieńczonej nieudaną próbą samobójczą. Na kilka

miesięcy zamknął się w klasztorze na wyspie Wight, gdzie dochodził do siebie i... zgłębiał tajniki gregoriańskich chorałów. W 1968 roku, tuż po trasie koncertowej po Japonii, The Walker Brothers oficjalnie przestali istnieć.



Klasztor na wyspie Wight

Początkowo rozpad grupy okazał się dla Scotta zbawieniem. Przestano traktować go jako obdarzonego seksownym barytonem przystojniaka i idola rozhisteryzowanych dziewcząt, którym zresztą nigdy nie chciał być (zapytany wówczas o osobiste ambicje, odparł: „Stać się istotą ludzką”). Poszedł pod prąd – w erze rozkwitu muzyki psychodelicznej, świadomie nawiązywał do tradycji staroświeckich croonerów w rodzaju Franka Sinatry czy Tony’ego Bennetta, a także do spuścizny francuskiego chansonu, którego niekwestionowanym mistrzem był Jacques Brel (Walker miał duży udział w spopularyzowaniu Brela w Wielkiej Brytanii, spędził nawet pewien czas w Paryżu, uważnie studiując francuską poezję). W czasach, kiedy największe triumfy święciły naiwne hipisowskie piosenki o miłości, pokoju i wolnych narkotykach dla każdego, Walker poetycko śpiewał o dyktatorach, prostytutkach, transwestytach i śmierci.



Scott Walker

My Death

Pomimo niesprzyjających okoliczności i niejednoznacznych treści płyty **Scott** (1967), **Scott 2** (1968) i **Scott 3** (1969) były komercyjnymi przebojami. Walker nadal był u szczytu sławy. Dostał swój własny program telewizyjny na antenie BBC, w którym prezentował bigbandowe standardy, własne kompozycje oraz interpretacje utworów Brela. W 1969 roku ukazał się **Scott 4**, na którym zabrakło przeróbek cudzych utworów – artysta po raz pierwszy był autorem wszystkich piosenek. Wydany pod nazwiskiem Noel Scott Engel i niepromowany zniechęt看onymi przez Walkera koncertami album przepadł w zestawieniach i na długie lata zniechęcił artystę do wydawania wyłącznie autorskiego materiału.

Sława też mu nie służyła. Stał się odludkiem coraz bardziej dystansującym się do publiczności, której uwaga była dla niego rosnącym ciężarem. W kolejną dekadę wkroczył z zupełnie innym materiałem – tak, jak gdyby chciał zacząć od nowa. Album **Til The Band Comes In** ukazał się w 1970 roku i składał z dwóch segmentów: stronę „A” wypełniały wspólne kompozycje Walkera i Ady’ego Semela, zaś stronę „B” – przeróbki popularnych piosenek spod znaku... country & western. Kolejne płyty – **The Moviegoer** (1972), **Any Day Now** (1973), **Stretch** (1973) i **We Had It All** (1974) – zawierały już wyłącznie covery. Po latach Walker wyzna, że pod względem artystycznym były to stracone lata.

W połowie lat 70. – dość niespodziewanie, choć ze względów raczej oczywistych – doszło do reaktywacji The Walker Brothers. Okresowa zgoda zaowocowała trzema albumami: **No Regrets** (1975), **Lines** (1976) i **Nite Flights** (1978). Żaden nie był przebojem. Na pierwszy trafiły tylko przeróbki cudzych utworów, na drugim znalazła się zaledwie jedna autorska piosenka Mause (na dodatek podpisana pseudonimem), natomiast trzeci, choć w pełni autorski, był już łabędzim śpiewem grupy i stanowił bardziej trzy solowe minialbumy zebrane na jednej płycie niż grupowe dzieło. Płytę podzielono bowiem na trzy zestawy piosenek, osobno napisanych i zaśpiewanych przez każdego z „braci”.



The Walker Brother

The Electrician

Całość otwierały utwory Walkera – **Shutout**, **Fat Mama Kick**, **The Electrician** i **Nite Flights**. Były to jego pierwsze od ośmiu lat autorskie kompozycje, które wyznaczyły kierunek dalszych solowych poszukiwań. Zaczęły też Davida Bowiego i Briana Eno (którym zresztą Walker w owym czasie odmówił współpracy!). Ten pierwszy stwierdził po latach: „**The Electrician** jest jednym z najbardziej zadziwiających utworów w historii muzyki popularnej. To niemal jeden z tych szczęśliwych wypadków, kiedy wytrenowany, neobroadwayowski głos zahacza o egzystencjalizm”. Posępną kompozycją, wykorzystaną równo 30 lat później w filmie **Bronson** Winding Refna, musiały również inspirować



The Walker Brothers

się grupy **Joy Division** » i **Talking Heads** ». Z kolei utwór **Nite Flights** został **przerobiony przez Bowiego** » w 1993 roku na potrzeby płyty **Black Tie White Noise**.

The Walker Brothers nie przetrwali długo; ostateczny rozpad grupy nastąpił w 1978 roku, tuż po wydaniu **Nite Flights**. Dla Scotta Walkera oznaczało to zejście ze sceny na sześć długich lat. Niewiele wiadomo o tym okresie życia. Na początku lat 80. jego sława wróciła za sprawą kompilacji **Fire Escape in the Sky: The Godlike Genius of Scott Walker**, ułożonej przez Juliana Cope'a. Znakomite wyniki sprzedaży składanki sprawiły, że wytwórnia Virgin podpisała z Walkerem wieloletni kontrakt na kilkanaście płyt. Pierwszą – i jak się okazało ostatnią – była **Climate of Hunter** z 1984 roku.

Album nagrywano w niecodzienny sposób. Muzycy sesyjni (m.in. Mark Knopfler z Dire Straits i popularny wokalista Billy Ocean) nie mieli żadnego wglądu w całość poszczególnych utworów – rejestrowali wyłącznie swoje partie. Melodie były bowiem pilnie strzeżonym sekretem. „Muzykom jest trudno pracować w ten sposób, ale to odciąga ich od »popłynięcia«. Nie chcę, żeby płynęli albo grali smaczki. To mnie zupełnie nie interesuje, bo charakteryzuje utwór w określony sposób, a nie o to mi chodzi. Chcę, żeby każda partia miała swoją własną intensywność”. Intencją Walkera było wprowadzenie elementu chaosu, tak aby nikt się nie połapał, w czym tak naprawdę uczestniczy, a tym samym – nie umieszczał kompozycji w określonym kontekście. Z podobnych po-

wodów cztery utwory nie mają tytułów i figurują po prostu jako **Track Six**, **Track Seven** itd.



Scott Walker *Dealer*

Płyta spotkała się z całkowitą obojętnością publiczności i rezerwą krytyki. Trudną, nieprzystępną zawartość ***Climate of Hunter*** określono jako skrzyżowanie Simple Minds na ciężkich prochach ze ścieżką dźwiękową z ***Blade Runner***a. Nie pasowało to do hedonizmu lat 80. Fatalne wyniki sprzedaży, trudny charakter Walkera i jego brak zainteresowania listami przebojów (kto wybiera na singiel promujący utwór zatytułowany **Track Three**?) doprowadziły do przekreślenia planów na następną płytę, na której miał pojawić się sam Brian Eno, i ostatecznie do zerwania kontraktu z Virgin. ***Climate of Hunter*** był przez długi czas najgorzej sprzedającą się płytą w historii wytwórni. Co ciekawe, całość otwierały słowa „This is how you disappear” (Oto, jak się znika). Z perspektywy czasu okazały się prorocze; Walker zniknął na blisko dekadę.

Co się z nim działo w tym czasie, wie prawdopodobnie tylko on. „Stałem się Orsonem Wellesem przemysłu muzycznego – przyznał w jednym z nielicznych wywiadów. – Ludzie chcieli zabierać mnie na obiad, ale nikt nie chciał finansować mojej twórczości”. Pierwszym sygnałem powrotu z niebytu była piosenka ***Man From Reno*** z Goranem Bregovicem, nagrana w 1993 roku do filmu ***Toxic Affair***. Dwa lata później ukazał się pierwszy od 11 lat

solowy album Walkera, zatytułowany ***Tilt*** (długie przerwy między kolejnymi albumami wyjaśnił w ten sposób: „Nie piszę piosenek dla przyjemności. Mogę pisać tylko wtedy, gdy jestem do tego naprawdę zmuszony, kiedy na przykład mam zobowiązania kontraktowe albo muszę skończyć płytę”).

Płyta okazała się tak bardzo odezwana od muzyki rockowej, jak to tylko możliwe. Bliżej było jej do współczesnej awangardy, którą w dużej mierze przejęły ekstremalne odmiany muzyki elektronicznej. Tyle że ***Tilt*** powstawał bez udziału sampli i cyfrowych zabawek. Zawartość albumu zdominowały orkiestrowe aranżacje, sekcja smyczkowa, organy, rozmyte gitary, talerze, a nawet chitarrone, rodzaj XVI-wiecznej lutni. No i charakterystyczny wokal, przechodzący od szeptu do wrzasku. Walker po raz kolejny ustawił się w poprzek wszelkich konwencji, odcinając się zarówno od szeroko pojętego rocka, jak i elektroniki, nie wspominając o popie, od którego zaczynał.



Scott Walker *Farmer In The City*

Śmierć Pasoliniego, walki kogutów, bombardowanie Iraku, dyktatury w Południowej Ameryce, Adolf Eichmann – trudno, żeby komercyjny sukces odniósł album wypełniony podobnymi treściami i muzyką, przy której dokonania Nine Inch Nails (notabene jeden z ulubionych zespołów Walkera) jawią się niczym kołysanki. Krytycy byli jednak zachwyceni, a pełen entuzjazmu David Bowie mówił: „Najlepszy tego roczny album w kategoriach prawdzi-





Scott Walker

wej przygody to **Tilt**, który oczywiście umarł w notowaniach po jakimś tygodniu. Kupiły go trzy osoby, w tym ja, i był to absolutnie niezwykle materiał”. Sam Walker z kolei tak określił swój modus operandi: „Nie wywodzę się z folku w rodzaju Dylana, lecz z dokonów śpiewaków chansonu, a oni są pełni dramatyzmu”.

W kolejnych latach flirtował z kinem (piosenki **I Threw It All Away** Boba Dylana do filmu **To Have And To Hold** i **Only Myself To Blame** Davida Arnolda na potrzeby **The World Is Not Enough** oraz soundtrack do kontrowersyjnego obrazu Leosa Caraxa **Pola X**), pisał piosenki dla innych (m.in. Ute Lemper), był producentem (płyta **We Love Life** Pulp) i kuratorem festiwali, na których jednak nie występował (Meltdown w Londynie). Doprowadził też Bowiego do łez wzruszenia, kiedy telefonicznie **złożył mu życzenia urodzinowe** ».

W pewnym sensie przeżywał renesans: otrzymał od magazynu **Q** nagrodę za całokształt twórczości i wpływ na muzykę, która wcześniej trafiła do załedwie dwóch artystów: Briana Eno i Phila Spectora. Na gali rozdania Walkerowi zgotowano owację na stojąco.

W 2006 roku, nakładem słynnego labelu 4AD, ukazał się album **The Drift**, którego brzmienie było jeszcze bardziej radykalne i bezkompromisowe. Typowo rockowe instrumentarium – gitary, bębny i bas – znów poszerzono o rozmaite dziwadła, wśród których znalazły się m.in. harmonijka ustna, sitar, koncertyna i skrzydłówka. Ale w studio wykorzystano też drewnianą skrzynię, sporej wielkości kamień i... świńską tuszę, którą perkusista okładał pięściami, aby uzyskać odpowiedni dźwięk. W warstwie tekstowej Walker poruszał takie wątki, jak ataki terrorystyczne na USA, tortury, plagi i ostatnie

chwile Benito Mussoliniego. Pomimo niełatwej zawartości album powszechnie uznano za wybitny.



Scott Walker

Clara

W tym samym roku na 50. Londyńskim Festiwalu Filmowym swoją premierę miał **Scott Walker: 30 Century Man** – wyprodukowany przez samego Bowiego dokumentalny film, który rzucił nieco światła na życie i twórczość enigmatycznego artysty. Kolejne lata to głównie współpraca z szeroko pojętym teatrem (muzyka do sztuki **Dute For One** Jean Cocteau i występu CandoCo Dance Company; ten drugi soundtrack wydano na mini-albumie **And Who Shall Go to the Ball? And What Shall Go to the Ball?**), wspólne nagrania z innymi artystami (m.in. Bat For Lashes i Damon Albarn) oraz praca nad nowym albumem, który ukazał się ostatecznie w grudniu 2012 roku pod tytułem **Bish Bosch**. Jest to zarazem zwieńczenie nieformalnej trylogii, zapoczątkowanej przez **Tilt** i kontynuowanej na **The Drift**.

Ewolucja Scotta Walkera – od popowego gwiazdora w świetle reflektorów do unikającego rozgłosu awangardzisty – stanowi ewenement w historii popkultury. A jednak twórczość Amerykanina zdaje się być bardziej szanowana niż lubiana. Artysta nie ułatwia nikomu zadania, naszpikowując muzykę nieregularnymi rytmami i irytującymi dysonansami oraz podnosząc poprzeczkę eksperymentu z każdym kolejnym wydawnictwem. Komentując **Scott Walker: 30 Century Man** na swo-

im blogu, **Paweł Franczak słusznie zauważył**», że „ogólny wydzźwięk tego filmu brzmi: nie mamy szans docenić w pełni geniuszu Scotta Walkera. (...) Pewne wydarzenia rozumiemy tylko po ich zakończeniu. Może więc dopiero w XXX wieku Walker będzie traktowany niczym Mozart naszych czasów, a kto wie, może nawet rozumiany?”.



Scott Walker

Epizootics!

Maciej Kaczmarek



PREMIERY *filmowe*

Andrzej Jakimowski

Imagine

Jak pokazać to, jak niewidomy widzi/ odczuwa świat, przestrzeń, kolory? Tego karkołomnego wyzwania podjął się Andrzej Jakimowski, twórca **Zmruż oczy** czy **Sztuczki**. Znany z tego, że w niebanalny sposób potrafi przedstawić codzienność zwykłych (a może niezwykłych?) ludzi.

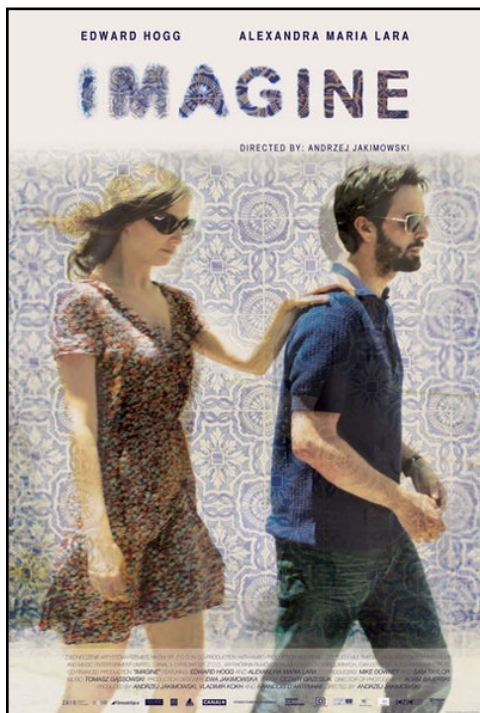
Imagine pokazuje zmagania niewidomych ze swoją niepełnosprawnością. Jednak nie pozostawia ich bezradnych wobec swojej ułomności. Główny bohater filmu, niewidomy Ian, po przyjeździe do Lizbony zostaje instruktorem w klinice okulistycznej. Napisanie, iż daje nadzieję swoim podopiecznym, byłoby stwierdzeniem zbyt trywialnym.

Reżyserowi udało się w niezwykle delikatny, a przy tym w stu procentach filmowy sposób odśłonić przed widzom świat, do którego zwykle nie ma się dostępu.

Dustin Hoffman

Kwartet

Znakomity aktor tym razem za kamerą. Udało mu się namówić do współpracy



kilku najwyższej klasy brytyjskich kolegów po fachu i stworzyć wraz z nimi film o pogodnej starości. Na ekranie jaśnieją gwiazdy takie jak cudowna Maggie Smith, zawadiacki Billy Connolly, dystyngowany Tom Courtenay czy Michael Gambon – młodzieży bardziej znany jako Dumbledore.

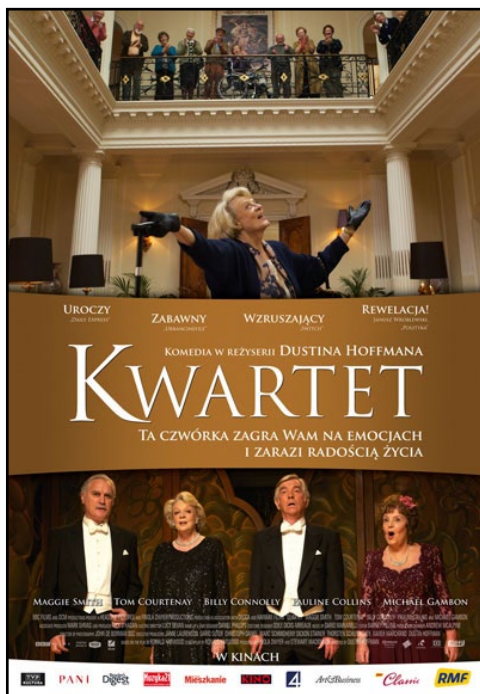
Fabularnie film plasuje się jednak w skali raczej przeciętnych produkcji, których co roku powstaje cała masa. Tym, co go wyróżnia z tłumu są świetne role oraz nieprzeciętny humor. Nie jest jednak konieczne, aby oglądać go na dużym ekranie.

Park Chan-wook

Stoker

Park Chan-wook to reżyser tzw. trylogii zemsty (***Pan Zemsta***, ***Old Boy***, ***Pani Zemsta***). Te filmy, mocno osadzone w kulturze koreańskiej, jednocześnie korespondowały z dokonaniem Tarantino. Po przeprowadzce do Hollywood azjatycki twórca zaprosił do współpracy gwiazdy amerykańskiego kina i nakręcił film typowy dla siebie, choć już nie tak nowatorski.

Nicole Kidman, Mia Wasikowska czy Matthew Goode zagraли poprawnie, lecz postaci w ich interpretacjach nie wyszły poza dobrze nam znane ramy. Natomiast pełnoprawne role zagrały u Parka doskonale dobrane zdjęcia i dźwięk. Czasami dużo więcej dzieje się gdzieś w tle, niż na pierwszym planie lub na twarzach bohaterów. Być może to wina nowego miejsca pracy koreańskiego twórcy, lecz nie udało mu się zrealizować lepszego filmu, niż do tej pory.



David Charhon

Nieobliczalni

Komedie policyjne w stylu *Gliniarza z Beverly Hills* pojawiają się i znikają. W pamięci za to pozostają tytuły takie jak *Hot Fuzz* czy polska *Drogówka*. Czyli filmy w jakiś sposób łamiące stereotypowe podejście do tematu. Czy tacy są francuscy *Nieobliczalni*?

Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że Charhon odcina kupony od sukcesu *Nietykanych*. W sumie nie ma co się dziwić. Jednak przeniesienie wzorca znanego z tamtego obrazu nie daje takiego samego efektu. Wręcz przeciwnie i pomimo zwerbowania Omara Sy. To tylko komedia i nic poza tym. Można się pośmiać, ale po wyjściu z kina nie patrzymy inaczej na świat.



Joseph Kosinski

Niepamięć

Książki mają tę przewagę nad filmami, że nie są ograniczone w czasie. Pozwalają nie tylko na opisy przestrzeni, ale na dogłębną charakteryzację postaci. I tylko od zręczności autora będzie zależał efekt końcowy. *Niepamięć* Kosinskiego cierpi z powodu wyżej wymienionego defektu – braku czasu na rozbudowanie psychologii bohaterów. Aktorzy nie wychodzą poza swoje standardowe emploi. Jedynym, co tak naprawdę zachwyca w tym filmie, są zdjęcia i muzyka.

Wszystko to jest efektowne, ale nie efekciarskie. Widać, że doświadczenie przy tworzeniu remake'u *Tronu* zaowocowało u Kosinskiego spraw-



nością w tworzeniu wizualnych cacek. Cóż z tego, skoro okazują się pustą wydmuszką.

Steven Soderbergh

Panaceum

Ponoć ostatni film kinowy w karierze Soderbergha i choćby dlatego warto się z nim zapoznać. Z czym zostawia nas reżyser *Erin Brockovich* czy *Ocean's Eleven*? Na pewno ze świetnym zestawem aktorów, od Rooney Mary po Jude'a Lawa. I tym razem sięgnął po istotny społecznie problem (uzależnienie od antydepresantów), lecz ubrał go w kostium thrilleru.

Reżyserowi udało się kilka rzeczy: konstrukcje bohaterów, montaż i dźwięk oraz sam pomysł wyjściowy. Niemniej efekt końcowy nie wszystkim przypadnie do gustu. Mimo to, biorąc pod uwagę ramy gatunkowe filmu, nie ma się do czego przyczepić. Jest to po prostu dobry thriller.

Antoine Fuqua

Olimp w ogniu

Czysta rozrywka na ekranie. Od razu rodzą się w głowie porównania do *Szklanej pułapki* czy *Czasu patriotów*, i takie odniesienie do klasyki gatunku sensacyjnego było chyba założeniem twórców. Bez zbędnych formalności zbudowali prostą jak budowa cepa fabułę, z zagrożeniem życia prezydenta Stanów Zjednoczonych i istnienia demokracji na czele. Jedyną nowością w tej historii są terroryści pochodzący z Korei.



Olimp w ogniu stanie się w przyszłości kolejnym zapychaczem czasu antenowego podczas wszelkich świąt kościelnych i narodowych w Polsce.

Shane Black

Iron Man 3

Jak to jest – nie być fanem **Człowieka z żelaza** i nie czekać z niecierpliwością na ostatnią część trylogii? Przyjemnie, bo bez zbędnych oczekiwań można wybrać się do kina na bezpretensjonalną dawkę akcji i humoru. Jedynym zgrzytem kolejnej odsłony przygód superbohatera jest to, że bez znajomości poprzednich części oraz Avengersów można nie zrozumieć niektórych momentów.

Nie odbiera to jednak przyjemności z seansu. A to dzięki świetnym kreacjom Roberta Downeya Jr. oraz Gwyneth Paltrow. Reżyser postawił na to, na czym zna się najlepiej – na wciągającą fabułę i iskrzące dowcipem, cięte dialogi. ***Iron Man 3*** to po prostu widowiskowy film.



Pedro Almodóvar

Przelotni kochankowie

Czy leci z nami Almodóvar? Tak, leci. Bardzo nie lubię, kiedy gani się reżysera za to, że robi takie filmy, jakie sam chce, a nie takie, jakie krytycy chcieliby, aby robił. Tak wygląda sytuacja z nowym obrazem Almodóvara. Nie jest to może dzieło ponadczasowe, ale dość mocno osadzone w obecnej historii Półwyspu Iberyjskiego. Ponadto zawiera sporo typowych dla twórcy



motywów, skondensowanych w półtoragodzinnym seansie.

Od przypadkowego błędu obsługi lotniska po całą niepewną sytuację pasażerów samolotu, który nie może wylądować – widać że to film tego konkretnego reżysera. Być może jego maniera razi dosłownością, lecz nie odchodzi daleko od tego, co można było zobaczyć we wcześniejszych filmach. Zatem każdy fan oraz miłośnik dobrych komedii nie powinien czuć się zawiedziony.

Matt Ross

28 pokoi hotelowych

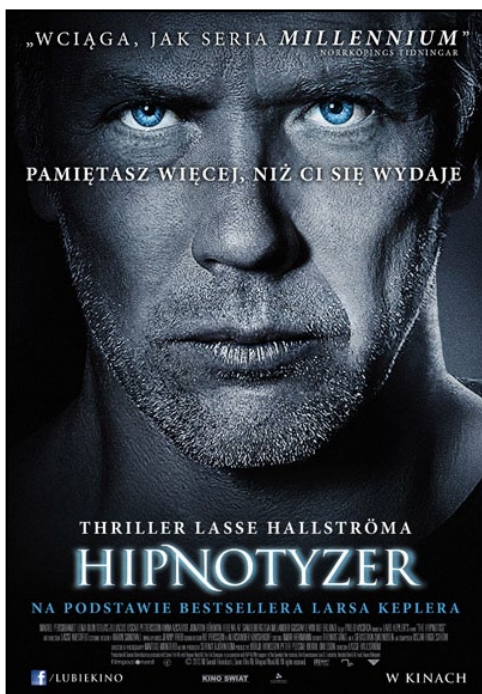
Debiutancki film aktora, Matta Rossa, ma dużo wspólnego z obrazem **9 songs**. Tak samo jak tam, twórcy próbowali powiedzieć coś nowego o relacjach intymnych współczesnych ludzi i niestety, ponieśli porażkę.

Bohaterowie dość intensywnie przeżywają to, co się między nimi dzieje, lecz wydają się kompletnie wyrwani z kontekstu. Przypuszczalnie takie było założenie reżysera, aby nie wgłębiać się w życie „prywatne” postaci, lecz skupić na tym, co tu i teraz. To rozwiązanie pozostawia jednak widza z niedosytem i totalnym brakiem zaangażowania w fabułę. A ładne zdjęcia i dobre aktorstwo nie ratują całości.

Lasse Hallström

Hipnotyzer

Siła szwedzkich kryminałów polega na tym, że nie są one tylko kryminałami. Zawsze w tle, mniej lub bardziej, czai się przeszłość bohaterów, rodzinne se-



krety lub osobiste dramaty. Hallström, który przez ostatnie 20 lat kręcił filmy w Stanach Zjednoczonych, wziął na warsztat powieść szwedzkiego autora i tym samym niejako powrócił do korzeni. I znów oparł się na literaturze (pisałam o tym w recenzji **Połowu szczęścia w Jemenie**), jednak tym razem ekranizacja mu nie wyszła.

Historia, która zaczęła się niczym rasowy thriller, przeobraziła w międzyczasie w tragedię rodzinną, nawet ciekawie zarysowaną. Lecz wątek kryminalny całkowicie stracił impet. Gdyby Hallströmowi udało się wyważyć te dwa motywy, film byłby zdecydowanie lepszy.

Buz Luhrman

Wielki Gatsby

Jeśli się zastanawiacie, czy oglądać, czy nie, odpowiem zdecydowanie: oczywiście, że oglądać. Po to, aby się zachwycić, albo po to, by wiedzieć, o co będzie się złym na twórcę.

Przeglądając się poprzednim czterem filmom Luhrmana z perspektywy czasu, dostrzegamy ich specyficzny urok. Mimo wielu niedoskonałości, niedociągnięć i wszechobecnego kiczu powroty do nich przywołują uśmiech na twarzy.

Czy i z **Wielkim Gatsbym** będzie podobnie? Zapewne tak, ponieważ zawiera wszystkie stałe lub ważne dla Luhrmana elementy – kicz, sentymentalną aurę, dobrą ścieżkę dźwiękową oraz... Leonarda DiCaprio. I to właśnie ten ostatni detal sprawia, że nuda nam nie grozi. Leo wchodzi jeśli nie na wyżyny, to na pewno wysoko, aby sprostać wyzwaniu roli Gatsby'ego. I to mu się udaje.

Opracowała: Karolina Joisan

Skala ocen:

God must have been a fuckin' genius

I just met a wonderful new man.
He's fictional but you can't have everything

My mum always said,
life is like a box of chocolates

I love you, honey bunny!

May the Force be with you

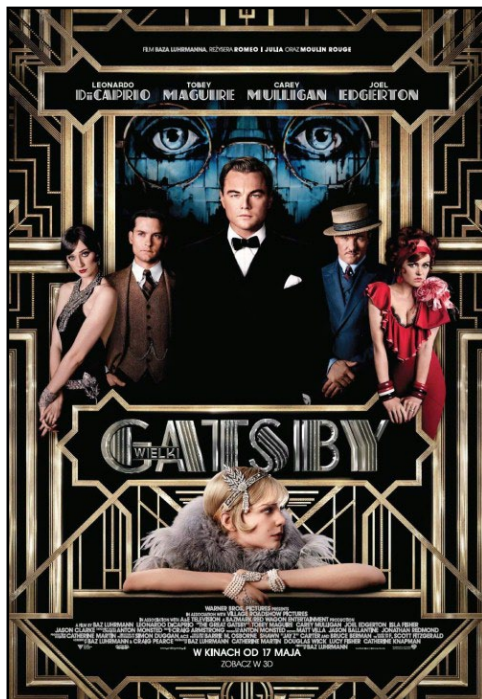
Too weird to live, and too rare to die

Coco Jumbo i do przodu

Huston, we've got a problem

**
Ja tu widzę niezły burdel

*
Albercik! Wychodzimy!

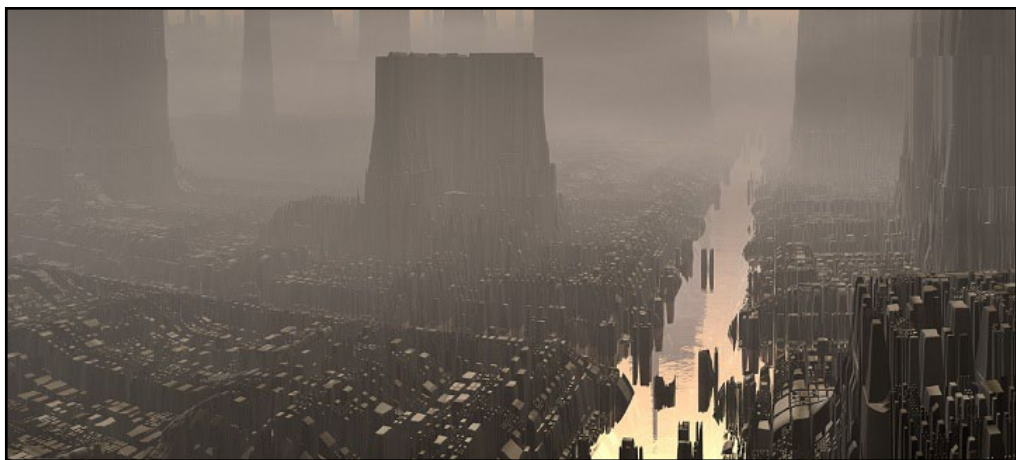


Zatrzymać toczące się kamienie

Jak zepchnięty z góry kamień, który toczy się w zastraszającym tempie, tak filmy animowane **Krzysztofa Kiwerskiego** potrafią przyprawić o niemały zawrót głowy. Światy, które kreuje ten krakowski malarz, grafik, scenarzysta i reżyser, są zazwyczaj mroczne i pesymistyczne. Bywają wśród nich jednak i takie, które przyprawione nutką humoru i obdarowane błyskiem nadziei pozostawiają widza z odrobiną wiary w doczesność. Jedyne obszary twórczości Kiwerskiego, w którym dominuje radość, to animowane filmy dla dzieci.

Wracając do toczących się kamieni, najnowsza animacja Krzysztofa Kiwerskiego nosi tytuł ***The Rolling Stones*** (2013). Ta krótkometrażowa produkcja animowana znalazła swoje miejsce w programie tegorocznego Krakow-

skiego Festiwalu Filmowego. Natomiast na Ogólnopolskim Festiwalu Autorskich Filmów Animowanych, który odbył się w marcu tego roku, ***The Rolling Stones*** został uhonorowany główną nagrodą, czyli Złotą Kreską. Film ten, tak



The Rolling Stones



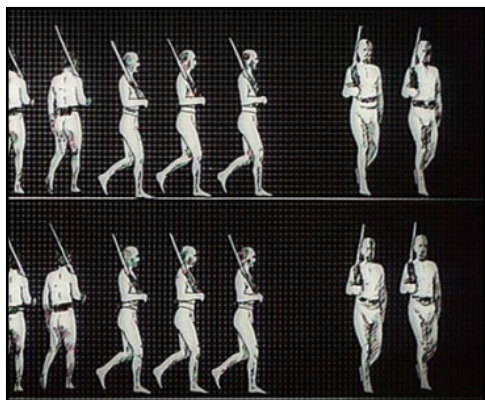
jak wcześniejsze o sześć lat **Przejście Żydów przez Morze Czerwone**, jest opary na kreacji motion land. Mimo że jest to najnowsze dzieło animatora, warto opowiadanie o jego twórczości zacząć właśnie od niego. Podobny nastrój katastrofizmu, to samo przesławienie o nieuchronnej klęsce człowieczeństwa towarzyszyło także wcześniejszej o wiele lat **Opcji zerowej** (1983) oraz powstałemu w roku 2005 filmowi pt. **Level**. Właśnie w ostatnim z nich niezwykle wyraźnie zaznacza się wpływ studiowanej przez twórcę grafiki. W przypadku **Level** silną inspiracją dla Kiwerskiego był miedzioryt Jacka Gaja **Drabiny**. W obu tych dziełach ludzkie dążenie do doskonałości wiąże się z przyjęciem planu działania zwanego „po trupach do celu”. Bohaterowie, działający początkowo zespołowo, stają się ostatecznie niewolnikami własnych pragnień i celów, w dążeniu do których nie cofną się nawet przed zabójstwem. A gdzie ten obiecany we wstępie

błysk nadziei? Pojawia się on na pewno w filmie kombinowanym **Porządek musi być** (1988). Produkcja ta, choć czarno-biała, przybiera momentami intensywne kolory, które dodają otuchy i poczucia bezpieczeństwa.

Krakowski twórca nie czyni jednak smutku i nastroju zagłady „regułą” swoich animacji. Dużo radości sprawi nam z pewnością seans animowanych filmów dla dzieci autorstwa Kiwerskiego. Największe wrażenie robią te, które sytuują się na pograniczu kina dla dzieci i kina dla dorosłych. **Awaria** (1975), która, co ciekawe, jest debiutem artysty, w niezwykle pomysłowy sposób łączy w sobie humor i grozę. Animację **Jasio** (1979) można natomiast traktować jako film o naturalnej, dziecięcej ciekawości świata.

Pomiędzy mrokiem i humorem Kiwerski pozostawia miejsce na tajemnicę, napięcie i filozoficzne pytania. Akcja **Przypadku?** (1977) toczy się niespiesznie, lecz ostatnie dwie minuty filmu to





Opcja zero

chwile ogromnego napięcia. U autora **The Rolling Stones** monotonia i rutyna czynności wykonywanych przez ludzi bądź przedmioty jest przewrotna i myląca. Finał **Opcji zerowej, Level**, czy wspomnianego wyżej **Przypadku?** przyprawia o gęśią skórę. Puenta jest mocna i do pewnego stopnia nieprzewidywalna. Poprzez uwikłanie w beztłosnych mechanizmach systemu ekonomicznego i politycznego człowiek staje się jedynie trybikiem w maszynie.

Nieco inny jest **Świadek 1919-2004** (2008), czyli przedostatni film Kiwerskiego. Autorem kompozycji muzycznej do tej animacji jest Zygmunt Konieczny i może dlatego muzyka i obraz, jak w żadnym innym filmie reżysera, odgrywają tutaj równorzędne role. Hegemonia obrazu zostaje więc na moment zachwiana, aby w **The Rolling Stones** strona wizualna mogła pokazać swoją bezdyskusyjną władzę nad słowem i dźwiękiem. To pierwsze w dziełach Kiwerskiego niemal nie występuje (filmy animowane dla dzieci stanowią wyjątek). Trzeba też oddać sprawiedliwość Markowi Wilczyńskiemu, twórcy muzyki do większości filmów anima-

tora. Gdyby nie jego utwory, przekaz tych animacji nie miałby takiej mocy, jaką z pewnością ma.

Najnowszy film Krzysztofa Kiwerskiego pozostawia widzów z przykrą świadomością, że nietrwałość jest cechą charakterystyczną wszystkich cywilizacji. Każdy z nas w większym lub mniejszym stopniu pogodzony jest z faktem, że nie można powstrzymać biegu czasu i dynamiki wydarzeń. Szkoda, że nie można chociaż sprawić, aby toczyły się one wolniej, tak by radosne chwile nie były tylko wysepką na morzu smutku. Taka nadzieja tkwi z pewnością w każdym z nas.

Agnieszka Młynarczyk



Shingeki no Kyojin czyli Attack on Titan

Alternatywny świat, w którym pojawili się tajemniczy Tytani. Humanoidalne bestie, wzrostu od 3 do 15 metrów, doprowadziły niemal do zagłady ludzkości. Ci, którym udało się przetrwać, ukryli się na niewielkim terytorium, otoczonym murami (zewnętrznym Maria, środkowym Rose i wewnętrznym Sina). Technologicznie cofnęli niemal do średniowiecza. Po stu latach spokoju, przerywanego jedynie drobnymi incydentami, mur Maria został sforsowany przez gigantycznego Tytana.

Ludzie nie byli przygotowani na obronę wewnątrz murów. Zginęło bardzo wiele osób. W tym matka dwójki głównych bohaterów, Erena Jaegera i jego przyrodniej siostry, Mikasy Ackerman. Eren poprzysiągł Tytanom zemstę i wstąpił

do elitarnej jednostki wojskowej, mającej walczyć z Tytanami.

Komiks autorstwa Hajime Isayama nadal ukazuje się w Japonii. Mimo że Shingeki nie jest typową historią dla młodzieży, zdobyła już taką popularność, że postanowiono stworzyć anime na jej podstawie. W Polsce ani manga, ani anime oficjalnie nie zostały wydane, ale sieć daje dostęp praktycznie do wszystkiego. Istnieją całe tzw. grupy skanacyjne, parające się tłumaczeniem i nieodpłatnym publikowaniem nowości ze świata japońskich komiksów. Do tej pory na polskich stronach internetowych pojawiło się około 11 z 45 tomów mangi Shingeki. Natomiast anime, które miało swoją premierę w kwietniu, zbiera bardzo pozytywne recenzje również wśród polskich fanów.



Shingeki no Kyojin

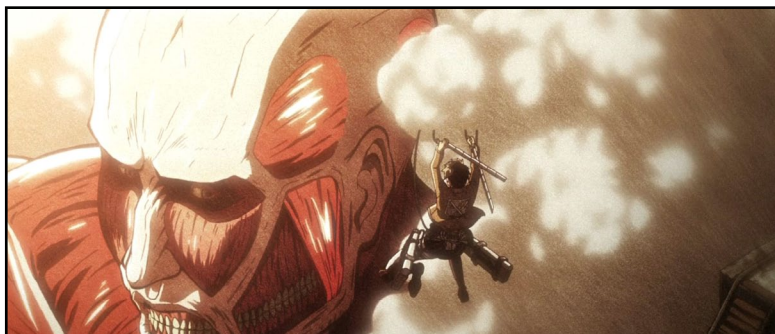


Już od pierwszego odcinka wiemy, że fabuła będzie obfitować w liczne wolty. Sam widok Tytanów atakujących i dosłownie pożerających ludzi sprawia, że ciarki przebiegają po plecach. No ale nie takie rzeczy widziało się w innych anime. Pytanie jest zasadnicze – czemu Tytani atakują ludzi? Czemu tylko ich? Zwierzętom nic nie grozi z ich strony. Wygląda to tak, jakby sprawiało im przyjemność zadawanie ludziom bólu. Lecz ani bohaterowie, ani my, widzowie, nie znamy pochodzenia Tytanów. Nie wiemy, skąd się wzięli ani co nimi powoduje (z wyrazu twarzy wynika, że inteligencja nie jest ich mocną stroną).

Na koniec należy wspomnieć o bardzo ciekawej kresce, nieprzesadzonej, momentami nawet bardzo realistycznej. Oko cieszą wypełnione detalami plany, choć na ich tle masakra w wykonaniu Tytanów sprawia jeszcze bardziej makabryczne wrażenie. Animacja jest płynna, a muzyka bardzo dobrze dopasowana.

Seria ma liczyć 25 odcinków. Jeśli anime będzie się trzymało jakościowo bardzo dobrej mangi, jest duże prawdopodobieństwo, że zyska miano kultowej.

Karolina Joisan



PREMIERY

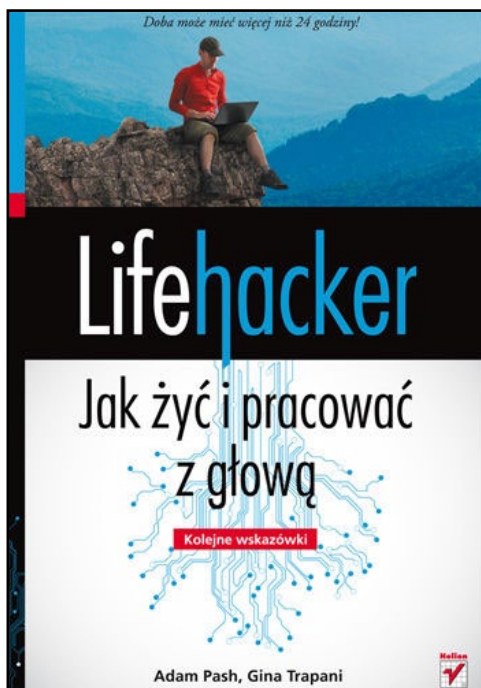
książkowe

Adam Pash, Gina Trapani

Lifehacker. Jak żyć i pracować z głową – kolejne wskazówki

Haker jest człowiekiem, który potrafi rozwiązywać problemy, zwłaszcza komputerowe, w sprytny i nietypowy sposób. Stąd autorzy poradnika o **life-hackingu** wpadli na pomysł nazywania „życiowymi hakerami” wszystkich posługujących się praktycznymi życiowymi sztuczkami, ułatwiającymi im osiągnięcie celu.

Jak automatycznie tworzyć kopie zapasowe? Jak ułatwić sobie dostęp do ważnych danych z dowolnego miejsca na świecie? Do czego może ci się przydać smartfon i rozszerzenia w przeglądarkach internetowych? Na te i inne pytania odpowiadają autorzy **Lifehackera**, a swoją książkę kierują zarówno do zaawansowanych, jak i mniej doświadczonych użytkowników komputera. Triki zaprezentowane w książce podzielone są według poziomu trudności. Niewątpliwą zaletą jest też możliwość wybiórczego czytania oraz stosowania przedstawionych działań. Należy jednak pamiętać, że wraz z pojawieniem się



nowych programów czy aktualizacją używanych systemów prezentowane w książce sztuczki mogą od razu się przedawnić.

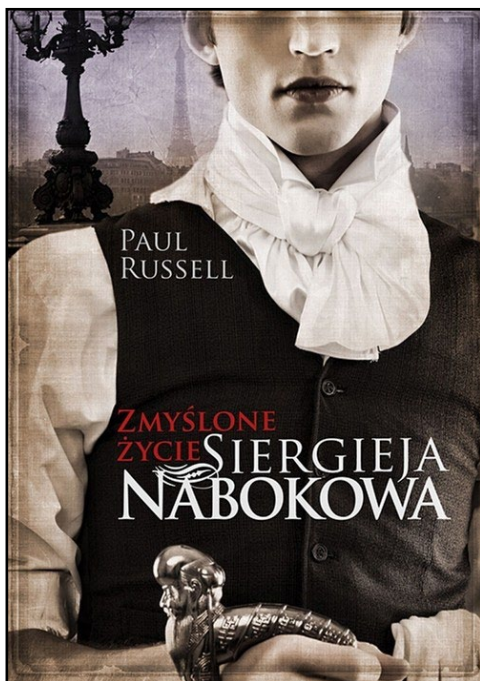
Paul Russell

Zmyślone życie Siergieja Nabokowa

Nabokov to nazwisko znane po obu stronach Atlantyku. Jednak niewielu wie, że Vladimir, autor kontrowersyjnej *Lolity*, miał brata. To właśnie o nim pisze Paul Russell, amerykański pisarz i badacz literatury.

Jak sam tytuł wskazuje, *Zmyślone życie Siergieja Nabokowa* jest życiorysem zbeletryzowanym. Siergiej, homoseksualny brat sławnego pisarza, przez całe życie pozostający w jego cieniu, prowadził bardzo barwne i intensywne życie towarzyskie. Pogardzany przez ojca ze względu na swoją orientację, postanawia radzić sobie sam z kłopotliwą odmiennością. Bywa „na salonach”, odnajduje podobnych sobie, odwiedza bale dla panów. Po rewolucji w Rosji wyjeżdża za granicę, gdzie bawi się w towarzystwie takich twórców, jak Pablo Picasso, Gertruda Stein czy Jean Cocteau.

Zmyślone życie... spodoba się nie tylko miłośnikom biografii. Swego czasu spod pióra Paula Russella wyszła ciekawa pozycja traktująca o stu najbardziej wpływowych homoseksualistach. Dzięki takiemu zapleczu autor mógł bardzo przekonująco przedstawić stosunki społeczne pierwszej połowy dwudziestego wieku.



Skala ocen:

Sto lat samotności

Miasto grzechu

Cień wiatru

Gra w klasy

Czas jest najprostrzą rzeczą

Moja walka...

Kronika sportowa

Paulo Coelho

**

Żegnaj laleczko

*

Czas pogardy



Francois Scott Fitzgerald

Wielki Gatsby

Z okazji premiery nowej adaptacji filmowej **Wielkiego Gatsby'ego**, Rebis postanowił wznowić tę jedną z najbardziej znanych powieści Fitzgeralda.

Z pozoru banalna historia miłości kryje w sobie wiele ciekawych wątków, obrazujących powojenną Amerykę lat dwudziestych: milionowe fortuny, za którymi stoją szemrane interesy, dyskryminacja rasowa, skandale obyczajowe. Opowiadając historię tytułowego Gatsby'ego, autor kreśli losy tzw. straconego pokolenia, którego młodość przypadła na lata pierwszej wojny światowej.

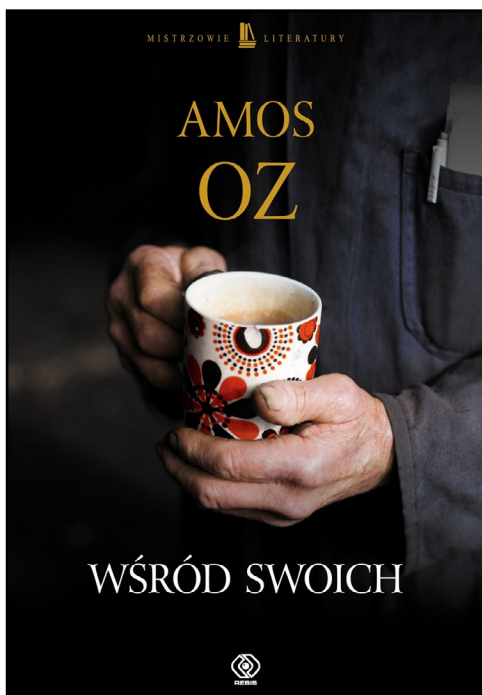
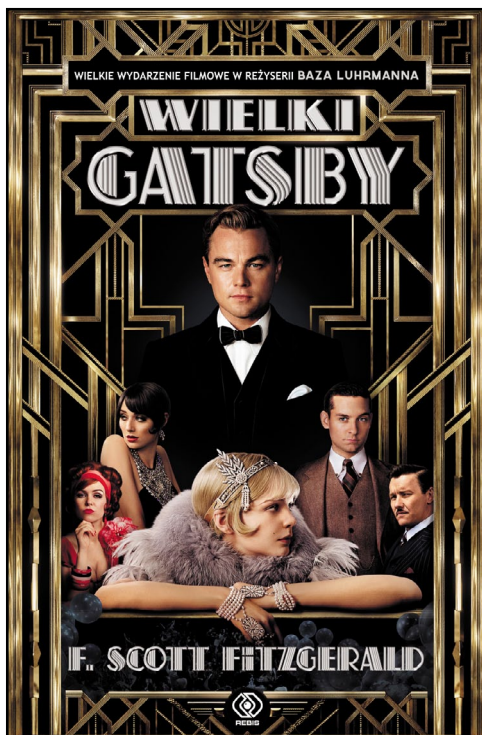
Mimo wszystko nie jest to powieść, która zachwyci współczesnego czytelnika. Być może wynika to z faktu, że światło dzienne **Wielki Gatsby** ujrzał prawie dziewięćdziesiąt lat temu i charakteryzuje go specyficzna, dość monotonna narracja. Jedno jest pewne – wybierając się na film, warto poznać pierwowzór Gatsby'ego o twarzy di Caprio.

Amos Oz

Wśród swoich

Amos Oz jest najpoczytniejszym izraelskim pisarzem, niejednokrotnie wymienianym wśród faworytów do literackiej Nagrody Nobla. Zbiorem opowiadań **Wśród swoich** po raz kolejny udowadnia, że jest w doskonałej formie.

Wśród swoich to osiem opowiadań o życiu w kibucu Jikhat. O kobietach, mężczyznach, dzieciach; ich obawach,



pragnieniach, fascynacjach. Poszczególne opowiadania są fragmentami większej układanki, którą obejrzeć można jedynie po wykonaniu kilku kroków w tył. Bohaterowie, których czytelnik poznaje w jednej z opowieści, pojawiają się w innej jako postaci drugoplanowe. Taki jest właśnie kibuc – wszyscy się znają, razem podejmują ważne decyzje, nikt nie pozostaje sam.

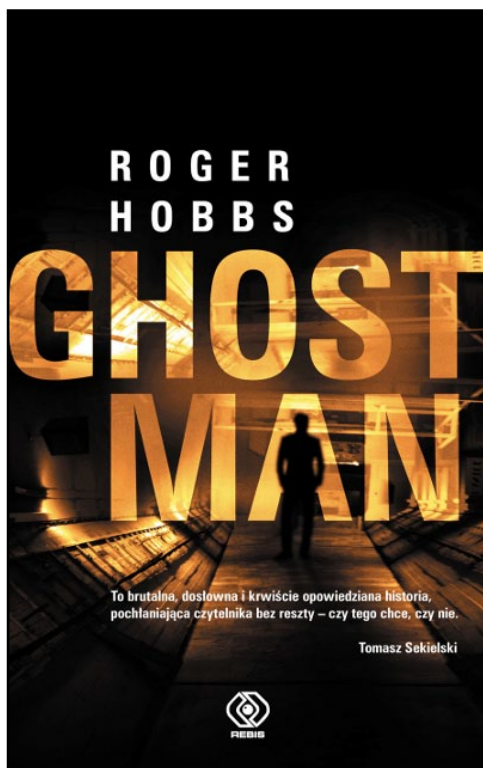
Opowiadania są echem doświadczenia samego autora, który wychował się w podobnym miejscu. Wie, jakimi prawami rządzi się tu życie, jest też doskonałym obserwatorem rzeczywistości, co w rezultacie pozwala mu rysować intymne i wyraziste portrety ludzi.

Roger Hobbs

Ghostman

Debiutancki thriller Rogera Hobbsa, o który jeszcze na rok przed publikacją walczyły wytwórnie filmowe.

Tytułowy **Ghostman** jest zawodowym „znikaczem” – osobą odpowiedzialną za likwidowanie wszelkich śladów z miejsca zbrodni. Potrafi spowodować, że znikają nie tylko dowody w sprawie – znika też sam. Zmienia tożsamość, wygląd, głos, zapach, wtapia się w otoczenie. Do każdego zlecenia podchodzi bardzo starannie, budując misterny plan i potem go krok po kroku realizując. Nie ma mowy o pomyłkach, lubi mieć zaplanowany każdy szczegół. Szczególnie gdy zlecenie dotyczy zawrotnej sumy pieniędzy i należy ciągle być o krok przed FBI.



Ghostman jest świetną powieścią akcji. A także poradnikiem, jak zorganizować doskonały skok na bank.

Patrick Pesnot

Rosyjscy szpiedzy.

Od Stalina do Putina

Nikogo chyba nie zaskoczy fakt, że kraj, który na prezydenta wybiera byłego oficera KGB, może poszczycić się niezwykle bogatą historią służb specjalnych. Książka Patricka Pesnota odkrywa kulisy władzy ZSRR i współczesnej Rosji, opowiada o stalinowskich czystkach, sfabrykowanych zamachach, nawet o wzniecaniu sterowanych ruchów opozycyjnych.

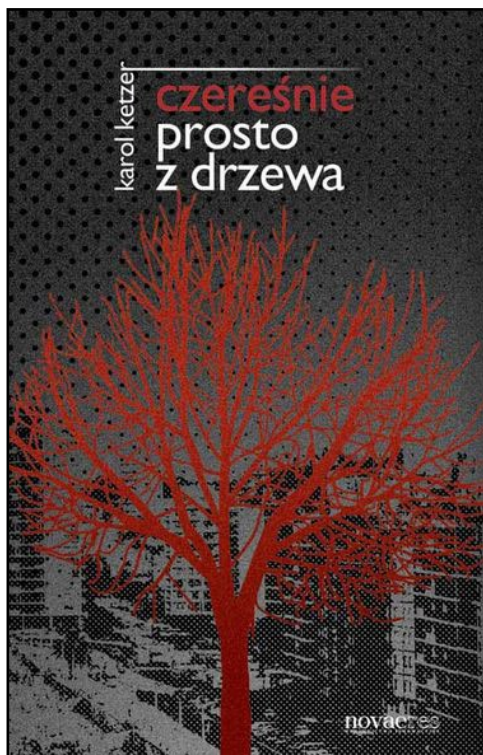
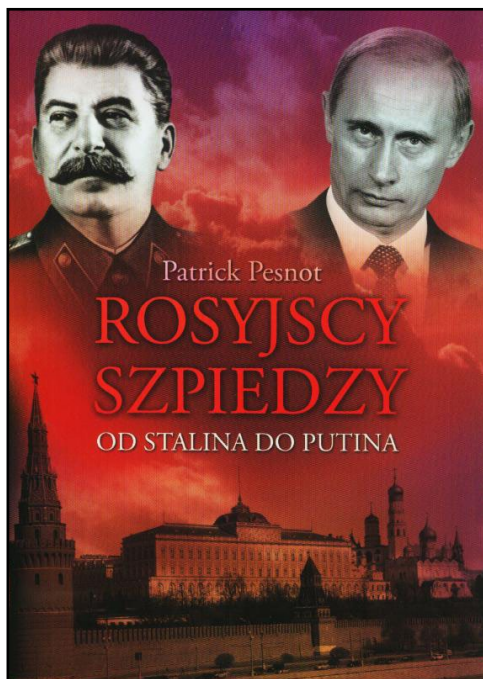
Pracując nad książką, autor korzystał z dotychczas niedostępnych archiwalnych dokumentów KGB, które rzucają nowe światło na wiele znanych historykom spraw: od morderstwa Trockiego poprzez rolę Jelcyna w obaleniu Gorbaczowa, na wojnie w Czeczenii jako instrumencie władzy Putina kończąc. Metody stosowane przez aparat władzy przerażają, szczególnie że część z nich niewiele się zmieniła od czasów ZSRR. To jest świat, gdzie przemoc, korupcja i manipulacja są na porządku dziennym.

Niezwykle fascynująca lektura.

Karol Ketzer

Czereśnie prosto z drzewa

Kompilacja bohaterów, zjawisk i zdarzeń, tyleż magicznych co oczywistych. **Czereśnie prosto z drzewa** to historie, których nie da się streścić – zbyt wiele w nich okoliczności, których



percepcja zależy od wrażliwości i wyobraźni czytelnika. Jednocześnie nie są to opowiadania słodkie i wdzięczne, czytane dla poprawy nastroju.

Opowiadania Karola Ketzera są melancholijne, czasami oniryczne, poetyckie. Czytelnik ma szerokie pole do interpretacji – opowiadania można czytać wielokrotnie, za każdym razem odkrywając w nich coś nowego.

Czereśnie prosto z drzewa to prozatorski debiut Karola Ketzera. Rozbudza apetyt, stawia poprzeczkę na bardzo przyzwoitym poziomie. Jeżeli można zakochać się w słowie, to na pewno w tym z **Czereśni...**

Opracowała: *Ana Matusevic*

Profesjonalnie wydajemy książki, albumy, czasopisma.

WYDAMY CIĘ!

Outsourcing wydawniczy
Książki na cele charytatywne

www.ekwita.pl



Świat pełen cieni

Zadebiutował w 1992 roku, pierwsze cztery powieści zaklasyfikowane zostały jako literatura młodzieżowa. Dziesięć lat później powstał **Cień wiatru** i stało się jasne, że magia jego świata porywa nie tylko młodych. **Carlos Ruiz Zafón** potrafi ubrać w słowa to, co inni jedynie wyczuwają szóstym zmysłem.

„Jestem przekonany, że istnieją opowieści o uniwersalnym przesłaniu” – pisze Zafón w przedmowie do pierwszego wydania **Księcia mgły**. Jego bohaterowie nie przemierzają prerii, nie przemieszczają się w czasie. Podróżują w głąb siebie, do przeszłości, żeby zmierzyć się z wyzwaniem, którym

podołać mogą nieliczni. Zaglądając między wiersze, uświadamiamy sobie, że najbardziej boimy się cieni. Nieodłącznych towarzyszy każdego z nas, milczących i, jak się okazuje, złowrogich.

W **Światłach wrzeźnia** cień jest siłą, która dąży do przejęcia kontroli nad życiem bohaterów, do odebrania tego, co najpiękniejsze. Wykorzysta każdą słabość, a miłość zastąpi pragnieniem śmierci. „Nie we wszystko, co widzisz, powinieneś wierzyć” – wielokrotnie przypomina Lazarus młodemu Dorianowi. Światło to oszust, nasz zmysł wzroku nie wystarczy, ponieważ nie potrafi zajrzeć głębiej. A w obliczu niematerialnego zła, nieuchwytniej wrogiej siły, tarczą jest silny kręgosłup moralny – pozwala mieć odwagę w sercu i pamiętać, że każda decyzja ma jakieś konsekwencje.

Atmosferę grozy i tajemniczości Zafón buduje poprzez dobór odpowied-



Carlos Ruiz Zafón



niej scenerii. Spoglądając na wzburzone morze z opuszczonej latarni morskiej czy też błędząc po zniszczonym przez pożar podziemnym peronie, podskórnie czujemy, że tajemnice są wszędzie. I wcale nie chcielibyśmy ich wszystkich poznać.

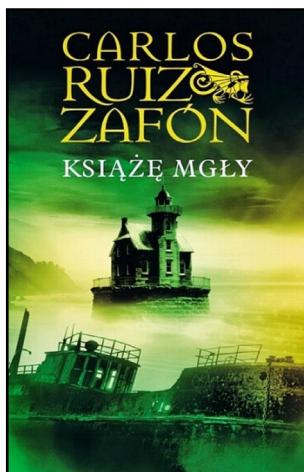
Można odnieść wrażenie, że Zafón w swoich pierwszych powieściach ćwiczył warsztat, aby w cyklu o Cmentarzu zapomnianych książek zawrzeć tylko to, co najlepsze. We wcześniejszej twórczości zdarzało mu się lekko ocierać o kicz, na co już nie pozwala sobie w ostatnich trzech powieściach. Tutaj autor prowadzi wielowątkową opowieść, w której rozwikłanie jednej tajemnicy prowadzi do odkrycia kolejnej – jak w powieści szkatułkowej czy rosyjskich matrioszkach.

Jak Daniel Sempere w **Cieniu wiatru** podążał śladami tajemniczego Juliana Caraxa w poszukiwaniu prawd o życiu i miłości, tak tysiące turystów przemierza ulice Barcelony śladami Daniela

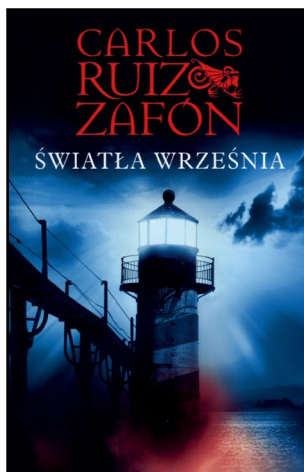
w poszukiwaniu nakreślonych przez Zafóna miejsc. Autor, umieszczając dokładne opisy, zrobił ze swoich książek przewodniki po tylko sobie znanej Barcelonie. Udało mu się odrealnić miasto wiecznego zgiełku i pokazać jego zupełnie inne oblicze.

Zafón ma talent. Potrafi tworzyć błyskotliwe dialogi, poetyckie opisy, mroczne historie. Pisze tak, jakby zaglądał w dusze swoich czytelników. Trudno też pozostać obojętnym wobec bohaterów Zafóna – są niemożliwie realni, żyją własnym życiem.

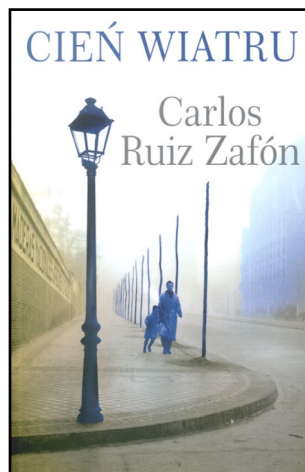
Ana Matusevic



Książę mgły



Światła września



Cień wiatru



Madonny i Ladacznice

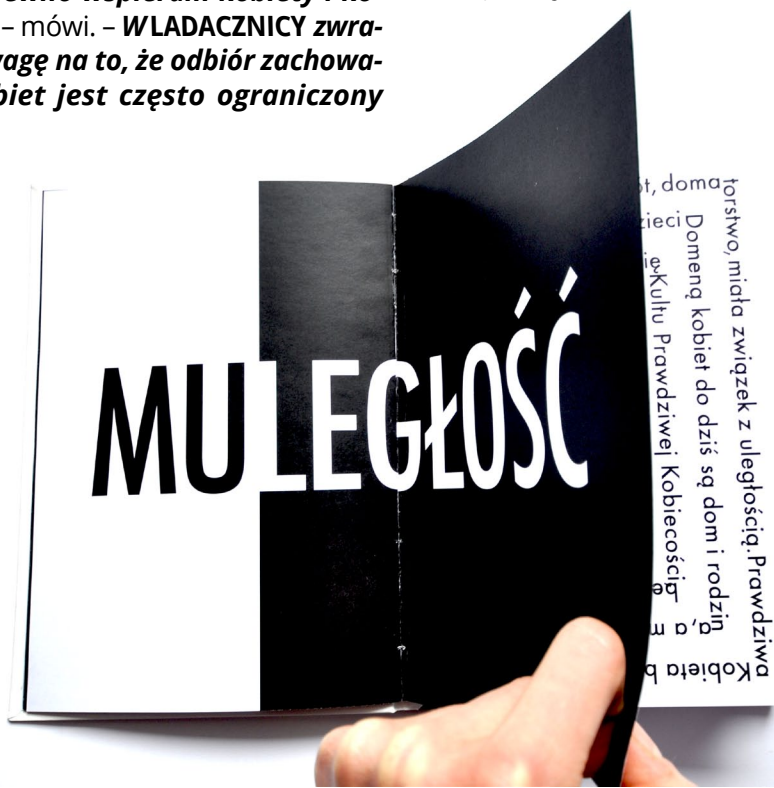
Czy książka może być równocześnie plakatem i albumem? Czy można połączyć tradycyjną formę słowa ze sztuką poligrafii? Udało się to **Weronice Rafie**, autorce projektu **LADACZNICA**.

Książka tłumaczy teorię ambiwalentnego seksizmu, którą autorka się zainteresowała, studiując psychologię. Jednak jak sama twierdzi, określenie „feministka” ma dzisiaj często wydźwięk negatywny, dlatego w rozmowie z „Alterpopem” wyraz ten pada rzadko.

Na pewno wspieram kobiety i kobiecość – mówi. – WLADACZNICY zwracam uwagę na to, że odbiór zachowania kobiet jest często ograniczony

do dwóch skrajności: kobiety niemal świętej (madonny) lub godnej potępienia (ladacznice). Nikt nie jest przecież całkowicie dobry lub zły, nasze wady mieszają się z zaletami i to naturalne, że będziemy postępować różnie.

Inspiracją do powstania graficznej książki była teoria ambiwalentnego



seksizmu Petera Glick i Susan Fiske. Teoria ta dotyka problematykę stereotypów i dyskryminacji, tłumaczy zależności pomiędzy różnymi sposobami oceny kobiety. Dwoistość takiego stosunku w książce Weroniki została wyrażona poprzez grę słów i słowotwórstwo oraz użycie wyłącznie dwóch kolorów, czerni i bieli.

Czerń i biel pasują, ponieważ podkreślają stereotypowy świat, gdzie nie ma szarości i wszystko jest na „tak” albo „nie”. Natomiast manipulacje słowami związane są z tym, że bardzo lubię dwuznaczności. Podoba mi się takie słowotwórstwo, gdy przy użyciu mniejszej liczby liter można wyrazić więcej. Słowa miały zachęcić do refleksji, ale jednocześnie są swoistą ilustracją tekstu – o procesie tworzenia grafik do książki opowiada Weronika.

Gra słów w projektach graficznych stymuluje wyobraźnię odbiorcy, który na chwilę przystaje i się zastanawia: „czy dobrze przeczytałem?”. **LADACZNICA**, podobnie jak temat, o któ-

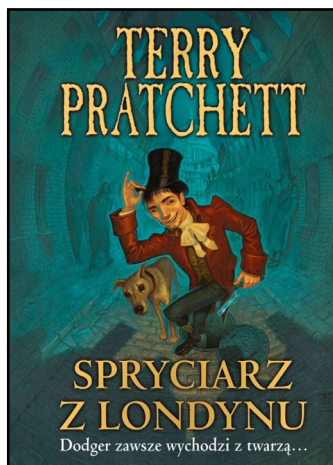
rym traktuje, nie daje się wepchnąć w sztywne, tradycyjne ramy. Wydana jako książka, kilkakrotnie została zaprezentowana na wystawach w formie plakatu. W Muzeum Książki Artystycznej w Łodzi oraz Znikającym Klubie w Gdańsku seria druków, powstałych na podstawie grafik z książki, cieszyła się sporym zainteresowaniem.

Plakaty nie są co prawda książką, ponieważ ich wymiar jest mniej intymny, ale cieszę się, że zaczęłam pokazywać LADACZNICĘ w ten sposób – tłumaczy Weronika. Uważa, że wychodząc w ten sposób do ludzi, udało się dotrzeć do szerszego grona odbiorców.

Wkrótce **LADACZNICA** będzie miała towarzystwo – autorka albumu pracuje nad książką o męskości. ***Dobrze się czuję w tym temacie, a nie poruszyłam jeszcze nawet ułamku zależności pomiędzy męskością a kobiecością*** – opowiada Weronika. I zdradza, że w kolejnych projektach również zamierza łączyć psychologię z szeroko pojmowanym designem.

Ana Matusevic





fragment

Terry Pratchett

Spryciarz z Londynu

Przekład: Maciej Szymański

Wydawnictwo Rebis

Rozdział pierwszy

W którym spotykamy naszego bohatera, bohater ów zaś spotyka ofiarę burzy i staje twarzą w twarz z panem Karolem, dżentelmenem znanym tu i ówdzie jako pisarzyna

Deszcz okrywał Londyn niczym mgławica tańczących kropel, z których każda walczyła ze swymi towarzyszkami o dominację w powietrzu. Był to istny potop. Rynsztoki i kanały dławiły się, rzygając raz po raz mieszaniną błota, mułu i wszelkiego paskudztwa, a także martwymi psami, szczurami, kotami i nie tylko. Wydawało się, że wypluwają na świat wszystko to, czego ludzie, jak sądzili, pozbyli się raz na zawsze. Odpadki wszelkiej maści płynęły wartkimi, bulgocącymi potokami ku nader wysokim i jak zawsze gościnnym wodom Tamizy, której nurt szarpał brzegi i kotłował się niczym nieokreślona zupa w przerażającym kotle, łapiąc powietrze jak zdychająca ryba. Lecz ci, co znają się na rzeczy, zawsze twierdzili, że londyński deszcz, choćby się starał ze wszystkich sił, nigdy, przenigdy nie oczyści tego hałaśliwego miasta, co najwyżej odsłoni kolejne pokłady brudu. I trudno się dziwić, że tak brudną nocą zdarzają się stosownie

brudne uczynki, których także nie zmyje żaden deszcz.

Para koni ciągnęła wytworny powóz środkiem zalanej ulicy przy wtórze przeraźliwego wrzasku kawałka metalu, który uwiązał gdzieś przy osi. Nagle jednak rozległ się inny wrzask – tym razem ludzki. Oto bowiem otworzyły się gwałtownie drzwi powozu i w przepełniony rynsztok udający fontannę spadła jakaś postać. Dwie inne wyskoczyły w ślad za nią, klnąc językiem tak barwnym, jak czarna była ta noc, a może nawet brudniejszym. W strugach deszczu i ciemności przerywanej

raz po raz błyskawicami pierwsza z postaci próbowała uciec, ale potknęła się, a napastnicy natychmiast się na nią rzucili. Nie tylko odgłosy burzy zagłuszyły jej krzyk, ale i zgrzyt metalu, który niepojętym zbiegiem okoliczności rozległ się w tym samym momencie. Kłapa studzienki kanalizacyjnej uniósł się, a młody, wychudzony mężczyzna, który ją pchnął, wyskoczył z tunelu zwinnie jak wąż.

– Zostawcie dziewczynę w spokoju! – wykrzyknął.

Z mroku dobiegło przekleństwo, gdy jeden z napastników nagle runął na ziemię podcięty mocnym kopniakiem. Młodziak nie należał może do wagi ciężkiej, za to wszędzie było go pełno. Rozdawał

błyskawiczne ciosy, tym boleśniejsze, że utwardzone przez mosiężne kastety, rekwizyty wręcz zbawienne w walce z wieloma przeciwnikami. Ci zaś, dwukrotnie liczniejsi, czym prędzej wzięli nogi za pas pod gradem uderzeń. A był to przecież Londyn, środek ulewy i środek nocy, toteż wbiegłszy w labirynt bocznych uliczek, rozpaczliwie gnając za odjeżdżającym powozem, wkrótce umknęli pogoni. Tajemniczy bywalec kanałów zawrócił więc i rącho jak chart popędził ku pobitej dziewczynie.

Przyklękł przy niej, a wtedy, ku jego zdumieniu, pochwyciła go za kołnierz i wyszeptła po angielsku, lecz z obcym akcentem:

– Znowu chcę mnie zabrać. Proszę, pomóż mi...

Chłopak zerwał się na równe nogi, rozglądając się podejrzliwie. Osobliwym zbiegiem okoliczności w ciemnościach nocy, podczas burzy nad burzami, szli – a może raczej brodzili – tą

ulicą dwaj dżentelmeni posiadający pewną wiedzę o brudnej stronie Londynu. Obaj spieszyli do domu w kapeluszach mocno wbitych na głowy, co być może byłoby nawet niezłym pomysłem, gdyby nie to, że w zawierusze strugi wody biły w nich równie mocno z góry, jak i z dołu. Gdy błyskawica znów rozświetliła niebo, jeden z nich rzekł:

– Czy mi się zdaje, czy ktoś leży tam w rynsztoku?

Możliwe, że swą troską zrobił wrażenie nawet na samej burzy, bo w tej chwili blask kolejnego pioruna wydobył z mroku niepozorny pagórek: niewątpliwie drobne ciało.

– Wielkie nieba, Karolu, to dziewczyna! Przemoknięta do suchej nitki i porzucona w rynsztoku, jak mniemam – powiedział jeden z dżentelmenów. – Chodź...

– Ejże, mój panie, czego tu szukasz?!

W wątej poświacie okien pubu, w której trudno było wypatrzeć nawet ciemność, wspomniany Karol i jego przyjaciel ujrzeli twarz chłopaka może siedemna-

stoletniego, za to obdarzonego męskim głosem. A może po prostu młodego mężczyzny gotowego stawić im czoło i walczyć na śmierć i życie. Emanował wręcz gniewem, gdy tak stał w strugach deszczu, ściskając w dłoni długi kawał metalu.

– Już ja znam takich jak wy, o tak! Zjawiacie się tu w pogoni za spódniczkami. Za nic macie los porządnych dziewcząt. Do licha! Desperaci z was, skoro wyruszacie na łów w taką noc!

Ten, który nazwał swego towarzysza Karolem, wyprostował się na te słowa.

– Nie tak prędko, młodzieńcze. Z całą mocą sprzeciwiam się tym niecnym oskarżeniom. Jesteśmy poważanymi dżentelmenami, którzy, pozwolę sobie dodać, całkiem ciężko pracują nad tym, by poprawić los takich właśnie nieszczęsnych dziewcząt oraz, jeśli się nie mylę, osobników takich jak ty!

Chłopak ryknął tak dziko, że aż otworzyły się drzwi pubu i potoki deszczu rozjaśnił snop przydymionego, pomarańczowego światła.

– Ach, więc tak to nazywacie, niegodziwcy!

Zamachnął się zaimprovizowaną bronią, lecz mężczyzna nazwany Karolem złapał ją zręcznie i cisnął na ziemię, po czym pochwycił chłopaka za kołnierz.

– Pan Mayhew i ja jesteśmy uczciwymi obywatelami, młodzieńcze, dlatego czujemy się zobowiązani zabrać tę młodą damę w bezpieczne miejsce. Do ciebie będzie najbliżej, Henryku – dorzucił przez ramię. – Sądziś, że twoja żona zechce udzielić schronienia na jedną noc tej zbłąkanej duszy? W taką pogodę i psa żał wypuścić na ulicę.

Henryk, który już przyklękł przy dziewczynie, skinął głową.

– Nie masz aby na myśli dwóch osób? – spytał.

Bojowy chłopak poczuł się urażony. Wężowym ruchem wyrwał się z uścisku i znowu gotów był do bitki.

– Nie jestem psem, wy eleganciki! Ani ja, ani ta dziewczyna. Mamy swoją dumę. I radzę sobie sam, bez niczyjej łaski!

Karol ponownie złapał go za kołnierz i uniósł nieco, by mogli spojrzeć sobie w oczy.

– Podziwiam twoją postawę, młodzię, ale nie twój zdrowy rozsądek – powiedział cicho. – Zauważ, w jakim stanie jest ta panienka. Widzisz? Mój przyjaciel mieszka niedaleko stąd, a skoro mianowałeś się obrońcą tej młodej damy, chodź z nami i przekonaj się, że zapewnimy jej najlepszą opiekę, na jaką nas stać. Jak masz na imię? Zanim odpowiesz, zachęcam cię jeszcze, byś uwierzył, że w tę ponurą noc nie jesteś jedynym, któremu nieobojętny jest los skrzywdzonych. Zatem, mój chłopcze, jak ci na imię?

Jego ton najwyraźniej dotarł nareszcie do młodzika, ten bowiem odparł po chwili:

– Jestem Dodger*. Tak mnie nazywają, bo jestem nieuchwytny, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. I wszyscy w okolicznych gminach znają Dodgera.

– W takim razie – rzekł Karol – skoro już się znamy i gotów jesteś dołączyć do zacnej kompanii, przekonajmy się, czy zdołamy doprowadzić tę małą odyseję do końca w pełnym zrozumieniu. Ruszajmy, Henryku – dodał, prostując się. – Musimy jak najszybciej dotrzeć do twego domu. Obawiam się, że ta nieszczęsna dziewczyna potrzebuje wszelkiej możliwej pomocy. Czy ty, młody człowieku, znasz ją może?

Chłopak, uwolniony z uścisku, cofnął się o kilka kroków.

– Nie, proszę pana. W życiu jej nie widziałem, klnę się na Boga, a przecież znam wszystkich na tych ulicach. Pewnie to kolejna uciekiniarka. To się zdarza cały czas, już nawet o takich nie myślę.

– Mam więc wierzyć, panie Dodger, żeś się rzucił na pomoc tej młodej damie niczym Galahad, nawet jej nie znając?

Dodger spojrzał na niego nieufnie.

– Może tak, a może nie, nic panu do tego. I kim, u diabła, jest ten cały Galahad?

Dwaj dżentelmeni uczynili z ramion kołyskę, a gdy unieśli w niej dziewczynę i ruszyli w stronę domu, Karol powiedział:

– Nie masz pan pojęcia, o kim przed chwilą mówiłem, nieprawdaż, panie Dodger? Otóż Galahad to słynny bohater... Zresztą nieważne. Po prostu chodź z nami, rycerzu w przemokniętej zbroi, a przekonasz się, że honorowo potraktujemy tę damę. Dostaniesz też porządną posiłek oraz – w ciemności rozległ się brzęk monet – jakieś dwa szylingi, nie wspominając o tym, że możesz zwiększyć swoje szanse na zbawienie. Choć to, jak mniemam, raczej cię zbytnio nie obchodzi. Ale rozumiesz, do czego zmierzam? Doskonale.

Dwadzieścia minut później Dodger siedział już przy kuchennym palenisku. Dom nie był może pałacem, ale prezentował się lepiej niż większość budynków, do których zdarzyło mu się wejść legalnie, choć nie tak dobrze, jak te odwiedzane nielegalnie.

W tych drugich nigdy zbyt długo nie bawił i zazwyczaj ulatniał się z nich w wielkim pośpiechu. Zaiste, skandalem było to, jak wiele psów hodowano w tych czasach i jak bezlitośnie napuszczano je na intruzów, skłaniając ich do jak najkrótszych wizyt. Za to tutaj... Tak, tu nie brakowało mięsa, ziemniaków i marchewki; niestety nie podano piwa, a jedynie szklankę ciepłego, prawie świeżego mleka. Kucharka, pani Quickly, obserwowała go jak jastrzęb, zabezpieczywszy rzecz jasna sztucze, ale poza tym miejsce wydawało się całkiem przyjazne. Nie

obyło się też bez paru wypowiedzianych z emfazą słów, które małżonka skierowała do Henryka, by uświadomić mu, co sądzi o sprowadzaniu do domu włóczęgów w samym środku nocy. Dodger, który przysłuchiwał się temu z największą uwagą, odniósł wrażenie, że to nie pierwszy raz i że pani domu zachowuje

się jak ktoś, kto ma serdecznie dość i ze wszystkich sił stara się nie dać tego po sobie poznać. Niemniej jednak jadł swój posiłek (i to było najważniejsze), żona i pokojówka zniknęły gdzieś z dziewczyną, a teraz... teraz ktoś szedł schodami wprost do kuchni.

Był to Karol. Ten Karol, który niepokoił Dodgera. Henryk, jak się zdawało, był jednym z tych dobrych ludzi, których poczucie winy nęka tylko dlatego, że oni mają pod dostatkiem pieniędzy i jedzenia, a inni nie. Dodger znał ten typ. Sam nigdy nie doświadczył wyrzutów sumienia z powodu posiadania pieniędzy. Wiódł życie, w którym najlepszą polisą ubezpieczeniową była szczodrość w krótkich chwilach dostatku. Potrzebował przyjaciół – a przyjaciele to ci, którzy odpowiadają: „Dodger? Pierwszy raz słyszę. W życiu nie widziałem, proszę pana. Pewnie szuka pan kogoś innego!” – by egzystować w tym mieście. Musiał też być czujny i ostrożny o każdej

porze dnia i nocy, jeśli chciał przeżyć.

Żył więc tylko dlatego, że był Dodgerem, osobnikiem bystrym i szybkim. Znał wszystkich i wszyscy znali jego. Nigdy, przenigdy nie stanął przed sądem, potrafił prześcignąć najszybszych biegaczy z Bow Street, a teraz, gdy ich czas się skończył, także każdego peelersa**. Aresztować mógł go tylko ten, kto zdołałby go dopaść, a to jeszcze nikomu się nie udało.

Henryk nie stanowił problemu, za to Karol – o tak, Karol! – wyglądał na takiego, co to potrafi w jednej chwili przejrzeć człowieka na wskroś. Mógł też, zdaniem Dodgera, być niebezpieczny. Znał życie i trudno było zasłonić przed nim swoje myśli flanelą miękkich słów. I oto pojawił się na schodach; schodził przy wtórze brzęczenia monet.

Skinął głową w stronę zajętej sprzątaną kucharki i przysiadł na ławie obok Dodgera, który musiał się nieco przesunąć, by zrobić dlań miejsce.

– Dodger, o ile pamiętam? – zagaił. – Z pewnością uraduje cię wieść, że młoda dama, której pomogliśmy, jest bezpieczna i właśnie zasypia w ciepłym łóżku po tym, jak lekarz zbadał ją i założył kilka szwów. Niestety, nie mogę powiedzieć tego samego o jej nienarodzonego dziecku. Nie przeżyło tej fatalnej przygody.

Dziecko! To słowo było dla Dodgera jak cios pałą, tyle że szok trwał dłużej. Dziecko. Rozmowa się ciągnęła, a on wciąż myślał tylko o nim.

– Nie wiedziałem – powiedział.

– To oczywiste – rzekł Karol. – W mroku wyglądało to jak jeszcze jedna zbrodnia wśród wielu, które niewątpliwie popełniono tej nocy. Obaj o tym wiemy. Ta jednak miała czelność zdarzyć się na moich oczach, dlatego też czuję się zobowiązany wykonać odrobinę policyjnej roboty, naturalnie nie angażując w to policji, która w tej sprawie zapewne nie zdziałałaby wiele.

Wyrazu jego twarzy nie potrafił odczytać nawet Dodger, który znał się na tym wymienicznie.

– Zastanawiam się – ciągnął z powagą Karol – czy owi panowie, który gnębili dziewczynę, wiedzieli, że jest brzemienna. Być może nigdy się tego nie dowiemy... a może jednak? – To „może” było jak nóż tnący nieugięcie w stronę światła. Mimo to twarz Karola wciąż nie zdradzała żadnych emocji. – Ciekawe też, czy jakiś inny dżentelmen wiedział o jej stanie. I dlatego, mój panie, prócz obiecanych dwóch szylingów dam ci jeszcze jednego, jeśli zechcesz odpowiedzieć na kilka pytań. Mam bowiem nadzieję, że uda się nam dotrzeć do samego dna

tej osobliwej historii.

Dodger spojrział na monety.

– Niby jakich pytań? – spytał, gdyż na co dzień żył w świecie, w którym zadawano tylko te najprostsze: „Ile?” albo „Co będę z tego miał?”. Był pewny, że Karol o tym wie.

– Potrafisz pan czytać i pisać, panie Dodger? – dociekał Karol.

Chłopak spojrział na niego z ukosa.
– To za tę odpowiedź mam dostać szylinga?

– Nie – odparł szorstko Karol. – Za ten okruh wiadomości mogę ci dać farthinga i nic ponadto. Oto on. A odpowiedź?

Dodger pochwycił małą monetę.

– Umieć przeczytać „piwo”, „gin” i „ale”. Zawsze powtarzam: Po co zaśmiecać sobie głowę niepotrzebnymi bzdurami?

– Czyżby cień uśmiechu pojawił się na twarzy mężczyzny?

Dodger nie był pewny.

– Uczony z ciebie jegomość, Dodger. Może więc zainteresuje cię wiadomość, że nie najlepiej potraktowano tę młodą damę.

Karol już się nie uśmiechał, Dodger zaś wykrzyknął nagle w panice:

– To nie ja! Nigdy nic nie uczynił przeciw niej, klnę się na Boga! Może nie jestem aniołem, ale złym człowiekiem też nie!

Spróbował wstać, ale Karol pochwycił go mocno.

– „Nigdy nic nie uczynił”? Skoro „nigdy nic”, panie Dodger, to w takim razie „kiedyś coś”. Oto i wyznanie win. Nie wątpię, żeś nigdy nie był w szkołach... na to jesteś stanowczo zbyt sprytny. Ale gdybyś kiedyś tam zawitał, z pewnością nauczyciel złożyłby ci skórę za to „nigdy nic”. Posłuchaj jednak, co mam do powiedzenia. Mam bardzo ważny powód, by wierzyć, że naprawdę nie skrzywdziłeś tej dziewczyny. Może o tym nie wiesz, ale na jej palcu znajduje się jeden z największych i najpiękniej zdobionych złotych pierścieni, jakie w życiu widziałem. Taki, który z pewnością coś oznacza. Gdybyś źle jej życzył, zwinąłbyś go w okamgnieniu, jak to uczyniłeś z moim portfelem.

Dodger spojrział mu w oczy. O nie – pomyślał – bez dwóch zdań, lepiej nie mieć w nim wroga.

– Ja, proszę pana? Nic podobnego – rzekł. – On sobie leżał, proszę pana. A ja całkiem uczciwie zamierzałem go zwrócić.

– Zapewniam, że wierzę bezgranicznie w każde twoje słowo, Dodger. Muszę jednak dodać, że pełen jestem podziwu, bo nie tylko dostrzegłeś w ciemności mój portfel, ale także rozpoznałeś w nim moją własność. Doprawdy zdumiewające – odparował Karol. – A teraz ustalmy fakty. Twierdząc, że nigdy nic nie uczyniłeś, wyraziłeś swoje zdanie w skrajnie negatywnym tonie, po prostaku, ale z emfazą. Rozumiesz?

Pan Mayhew i ja zdajemy sobie sprawę z tego, jak nieznosne jest życie większości mieszkańców tego miasta, i rozmaitymi sposobami staramy się uświadamiać to społeczeństwu, a przynajmniej tym jego członkom, których to choć trochę obchodzi. Wydaje się, że ciebie, Dodger, obchodzi los tej młodej damy, zatem może mógłbyś popytać tu i tam albo przynajmniej nadstawić uszu i dowiedzieć się o niej co nieco: skąd przybyła, co przeżyła, c o k o l w i e k. Została ciężko pobita... nie mówię tu o klapsach i domowej przepychance, lecz o skórze i pięściach. O p i ę ś c i a c h ! I to wiele razy, sądząc po stanie siniaków, a to, mój młody przyjacielu, jeszcze nie wystarczy!

Niektórzy – choć z pewnością nie ty – powiedzieliby niewątpliwie, że powinniśmy zawiadomić władzę. A powiedzieliby tak dlatego, że nie mają pojęcia o prawdziwym życiu klas niższych w Londynie. Nawet im się nie śniła ta nędza, ten wyzysk i upadek. Tak? – rzucił pytająco, widząc uniesiony palec Dodgera.

– Zgoda, na niektórych ulicach bywa niewesoło – rzekł ten natychmiast. – Parę martwych psów, od czasu do czasu martwa starsza pani, ale... Cóż, chyba tak to jest na tym świecie, co nie? Jak stoi w Dobrej Księdze, każdy musi przełknąć trochę brudu, zanim skończy w piachu, prawda?

– Ale nie wszystek za jednym zamachem – odparł Karol. – Skoro jednak już o tym mowa, Dodger, za te swoje dwa szylingi i jeden dodatkowy zacytuj mi, proszę, jeszcze jakiś wers z Biblii. Widać

było, że stanowi to dla młodzieńca pewien problem.

Przez chwilę spoglądał na Karola spoode łba, zanim rzekł:

– Cóż, mój panie, udawasz się, musisz... tak, właśnie tak to brzmi, a jakoś nie widzę mojego szylinga!

Karol parsknął śmiechem.

– „Udawasz się, musisz”? Obstawiam, żeś w życiu nie zajrzał do kościoła ni kaplicy, młody człowieku! Czytać nie umiesz, pisać nie umiesz. Wielkie nieba, czy potrafiśz chociaż podać mi imię jednego apostoła? Zgaduję po twojej minie, że nie potrafisz, niestety. Mimo to gotów byłeś pomóc tej młodej damie, która odpoczywa na piętrze, gdy tak wielu ludzi zapewne odwróciłoby

głowę. I dlatego dostaniesz trzydzieści pensów, jeśli wykonasz zadanie dla mnie i dla pana Mayhew. Popytaj więc w okolicy, mój przyjacielu, zbadaj jej historię. Za dnia znajdziesz mnie w redakcji „Morning Chronicle”. Nigdzie indziej nie szukaj. A to moja wizytówka, gdybyś jej potrzebował. Pan Dickens to ja – przedstawił się, podając Dodgerowi kartonik. – Chciałbyś o coś spytać?

Młodzian jakby stracił pewność siebie, ale zdobył się jeszcze na kilka słów:

– Czy mógłbym zobaczyć tę damę, proszę pana? Bo tak naprawdę nawet nie łypnąłem na nią okiem. Widziałem tylko tamtych, jak uciekali, i pomyślałem, że łaśkawi panowie są z nimi. Skoro więc mam o nią pytać, powinienem choć wiedzieć, jak wygląda. A powiem panu jeszcze, że zadawanie pytań to nader niebezpieczny sposób na życie w tym mieście.

Karol zmarszczył brwi.

– W tej chwili jest cała w sińcach, Dodger. Ale w tym, co mówisz, dostrzegam trochę sensu – rzekł po chwili namysłu. – Zrozum jednak, że ta historia naruszyła spokój tego domu. Pani Mayhew układa dzieci do snu, a dziewczyna na razie leży w izbie pokojówek. Jeśli chcesz tam wejść,

upewnij się, czy masz czyste buty. I czy te twoje chude palce... Wiesz, co mam na myśli? Doskonale wiem, jak sprawne są, a potem tylko „Rety, niech mnie kule biją”, bo oczywiście nie masz pojęcia, skąd u ciebie cudza własność... – Karol urwał. – Nie próbuj, powtarzam: n i e p r ó b u j takich sztuczek w domu pana Henryka Mayhew.

– Nie jestem złodziejem – zaprotestował Dodger.

– Chciałeś raczej powiedzieć, mój panie, że jesteś n i e t y l k o złodziejem. Chwilowo przyjmuję twoją historyjkę o tym, w jaki sposób mój portfel znalazł się w twoich rękach. Chwilowo, Dodger. Zauważyłem, że nosisz zgrabny łomik do otwierania studzienek. Stąd wnoszę, że jesteś jednym z tych zbieraczy, co grasują po kanałach. Interesująca profesja, ale nie dla kogoś, kto chciałby dłużej pożyć. Dlatego ciekaw jestem, jakim cudem uniknąłeś śmierci... i pewnego dnia się dowiem. I proszę, nie zgrywaj przede mną niewiniątka. Nazbyt dobrze znam ciemną stronę tego miasta!

* Przydomek „Dodger” to – nie jedyny zresztą! – ukłon autora w stronę twórczości Karola Dickensa, a ściślej rzecz biorąc, nawiązanie do jednego z bohaterów powieści Oliver Twist, znanego jako Artful Dodger (w polskich przekładach między innymi: Przebiegły Smyk, Przemyślny Krętaćz, Cwaniak albo Spryciarz). Jednak Dodger Terry’ego Pratchetta to nie tylko spryciarz; to przede wszystkim szybkonogi mistrz uników. Trudno w polszczyźnie o zgrabny odpowiednik tak rozumianego przydomka, niech więc Dodger pozostanie Dodgerem – przyp. tłum. (Wszelkie przypisy, jeśli nie zostało to oznaczone inaczej, pochodzą od autora).

** Peelersi to nazwa nowoczesnej policji stworzonej przez sir Roberta Peela, baroneta i premiera Wielkiej Brytanii. Zastąpili oni nieskutecznych i tchórzliwych biegaczy, dawne siły policyjne – przyp. tłum.

PREMIERY. gier

Anomaly 2

W Polsce wszystko wygląda inaczej. Nawet tower defense jest odwrócone do góry nogami, a gracz zamiast stawiać kolejne wieżyczki obronne, atakuje je za pomocą zmyślnych pojazdów. 11bit studios zasłużyło się w świecie elektronicznej rozrywki zupełnie nową koncepcją, która o dziwo została ciepło przyjęta. Idąc za ciosem, polskie studio wydaje drugą część serii i rozwija elementy znane z pierwowzoru. I tutaj pojawia się pewien problem, gdyż powtórzone zostały również błędy. Intensywna kampania aż prosi się o rozwinięcie. Pięć godzin na wysokim poziomie trudności to zdecydowanie za mało. Szczęśliwym trafem pomyślano o zwolennikach rozgrywek wieloosobowych i trzeba rzec, że tryb ten prezentuje się nadzwyczaj dobrze. Jest to sprawka asymetrycznej budowy rozgrywki, gdzie jeden gracz atakuje, a drugi broni się w starym stylu. Mimo wszystko pewien niedosyt pozostaje.

Gears of War: Judgment

Tryby wojny po raz kolejny powracają na ekrany telewizorów, tym razem z mocnym polskim akcentem. Za pro-



dukcję odpowiada bowiem rodzime **People Can Fly** – ojcowie takich gier, jak **Painkiller** czy niezbyt dobrze sprzedany, acz szalenie grywalny **Bulletstorm**. I czuć to już od pierwszych minut. **Judgment** odrywa się od brudnej kolorystyki na rzecz o wiele żywszych barw, co niekoniecznie musi wyjść mu na dobre. Gdzieś w tym wszystkim zatracił się ten charakterystyczny ciężki klimat. Fabularnie również coś niedomaga. Albo to po prostu zmęczenie materiału. Cztery części serii na jednej generacji konsol to zdecydowanie za dużo. Nawet dla największych fanów. Najjaśniejszym punktem programu ponownie jest tryb wieloosobowy, dostarczający licznych soczystych wrażeń. Mimo wszystko to już czas, aby wysłać serię na zasłużoną emeryturę.

BioShock: Infinite

BioShock: Infinite to jedna z tych nielicznych gier, która oprócz oferowania satysfakcjonującej rozgrywki, chce zmusić użytkownika do zastanowienia się nad problemami współczesnego świata. Te zostały przedstawione w sposób wręcz ikoniczny. Unoszące się w chmurach utopijne miasto Columbia rządzone jest przez człowieka uważającego się za wysłannika boga. Pojawia się tu zatem mocno zarysowany problem religijny wymieszany z pogardą dla innych ras niż biała. Wszystko to oblane zostało ostrym jak brzytwa gameplayem, który obroniłby się także bez wciągającej fabuły. Nie sposób nie wspomnieć o wyjątkowym designie lokacji, ale do tego studio Irrational Games zdążyło nas już przyzwyczaić. Cudo, które powinno być głównym



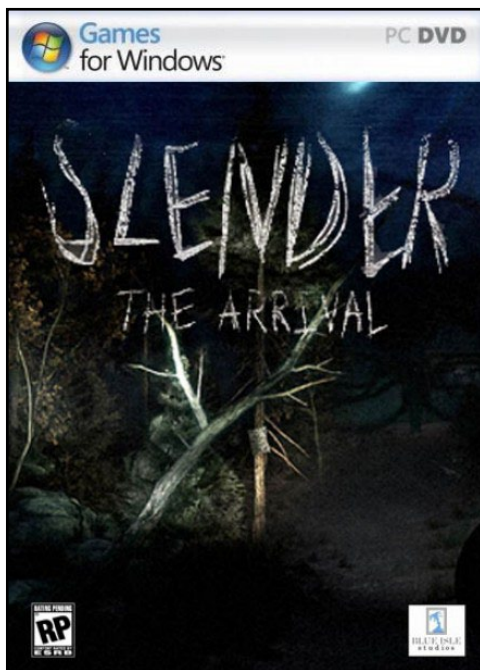
argumentem potwierdzającym tezę, że gry komputerowe to dużo więcej niż zabawa dla dzieci.

Slender: The Arrival

Sukces darmowego **Slendera** zachęcił niezależne studio deweloperskie do położenia łap na portfelach swoich fanów. W taki sposób powstał **The Arrival**, jeden z najbardziej intensywnych survival horrorów ostatnich miesięcy. Opisywany tu przykład idealnie ilustruje, że do stworzenia gęstego, mrocznego klimatu nie potrzeba dużego budżetu, a jedynie dobrego pomysłu. Twórcy **Slendera** doskonale wiedzą, że – cytując Hitchcocka – oczekiwanie na niebezpieczeństwo jest o wiele gorsze niż moment, gdy ono na człowieka spada. Zasada ta realizowana jest tu wręcz perfekcyjnie. Przemierzający niepokojące lokacje gracz czuje na karku nieprzyjemny oddech kultowego już pana w garniturze. Nie uświadczymy tu wodotrysków graficznych i efektów specjalnych na miarę nowej generacji sprzętowej, a jednak twór ten jest o wiele bardziej grywalny niż papka serwowana przez wielkich producentów. Dla lubiących się bać pozycja obowiązkowa.

Dead Island: Riptide

Obrodziło nam w tym miesiącu polskimi gramami, oj, obrodziło. Tym razem przenosimy się w tropiki, gdzie wraz z czarnoskórym raperem i jego bandą powstrzymamy rozprzestrzeniającą się zarazę żywych trupów. Brzmi wtórnie? I tak w rzeczywistości jest. **Riptide** serwuje nam jeszcze więcej tego, co mogliśmy zobaczyć prawie dwa lata



temu, i choć robi to profesjonalnie, nie sposób pozbyć się wrażenia monotonii. Ileż bowiem można znęcać się nad człapiącymi trupami i odcinać im kończyny? Nowości tu jak na lekarstwo, co boli niemiłosiernie. Co prawda jest nowa postać i odmienny rejon działania, jednak cała reszta to klasyczna powtórka z rozrywki. **Riptide** powinien zainteresować szczególnie tych graczy, którzy nie mieli przyjemności obcowania z poprzedniczką. Fabuła niby stanowi kontynuację, ale równocześnie zasysa muł gdzieś na dnie brudnej, tropikalnej rzeki, więc spokojnie można ją olać.

Far Cry 3: Blood Dragon

Początkowo zwykły żart primaaprilisowy przerodził się w faktyczną grę, która zrywa ze wszystkimi schematami i przedstawia swoją wizję gatunku. A raczej jej karykaturę. Kicz i tandeta charakterystyczna dla lat 80. ubiegłego wieku wręcz wylewa się z ekranu, atakując nas nawiązaniem do ikonicznych bohaterów tamtego okresu i wyśmiewając typową strukturę dzisiejszych gier akcji. Szkoda tylko, że **Blood Dragon** przy okazji idealnie się w nią wpasowuje. Genialny koncept został tu pogrzebany przez niezwykle słabe wykonanie. Samodzielny dodatek na każdym kroku przypomina o swoim rodowodzie i w wielu miejscach sprawia wrażenie, że twórcy podmienili jedynie tekstury na bardziej laseroworóżowe. O ile przez pierwsze 2–3 godziny zwiariowany klimat wyśmiewający wszystko wokół może bawić, tak przez resztę gry staje się po prostu monotony.

Wojciech Onyszków

Skala ocen:

Balls of steel

Headshot!

I live, again

Let's rock

War. War never changes

Przed wyruszeniem w drogę,
należy zebrać drużynę

Finish him!

Bomb has been planted

**
Blood for the Blood God

*
Game over



Być jak Sid Meier

Mass Effect 4 to epicka opowieść o białowłosym wojowniku, zdolnym nie tylko do efektowej walki wręcz, ale również do miotania niebezpiecznych zaklęć. Liniowa fabuła osadzona na nieprzyjaznej Czerwonej Planecie zachwyciła redaktorów z serwisu Informed Gamer, którzy wystawili jej maksymalną z możliwych not. Tytuł z miejsca uplasował się na szczycie list sprzedaży, wyprzedzając takie hity, jak taktyczny **Need for Speed** czy sportowe **Gears of War**, zapisując się tym samym złotymi zgłoskami na kartach historii elektronicznej rozrywki.

Brzmi wręcz absurdalnie? A jednak z **Game Dev Tycoon** jest to możliwe. Niezależny projekt dwuosobowego studia Greenheart Games czyni z nas twórców gier, zaczynających swoją przygodę w przydomowym garażu. Pierwszy tytuł na szybko sklecony na starym komputerze rokuje na przyszłość. Kolejne pliki zielonych lądują w naszej kieszeni, a my pracujemy

nad implementacją obsługi gamepada w najnowszym blockbusterze. Witajcie w świecie game devu!

Chyba każdy z nas marzył kiedyś o stworzeniu własnej gry i był przekonany o jej wielkim sukcesie. Marzenie to można chociaż po części spełnić, kupując **Game Dev Tycoon**. Tytuł ten stanowi ciekawą odnogę klasycznych gier ekonomicznych, która skupia się na naszej ukochanej branży. I pokazuje, jak trudne jest przewidzenie zachodzących w niej trendów.

Swoją przygodę zaczynamy w garażu, gdzie aktualnie znajduje się nasz komputer. Stworzenie pierwszego tytułu jest swego rodzaju sprawdzianem. Gracz musi bowiem określić nie tylko gatunek, ale także platformę docelową, rodzaj gry i jej target. Podczas samej produkcji decydujemy, na jakim elemencie skupić się najbardziej. Do



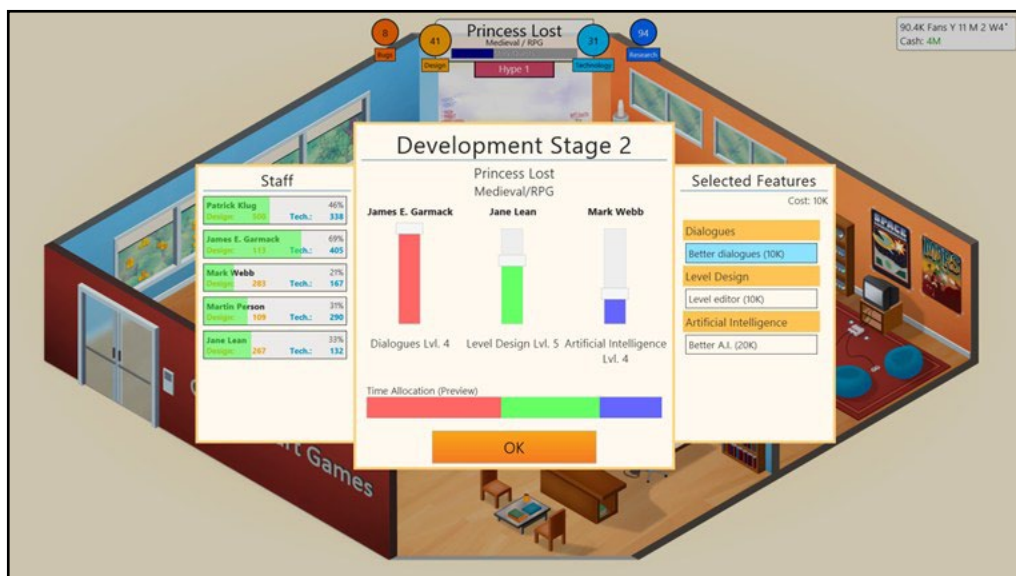
Game Dev Tycoon



wyboru między innymi grafika, design poziomów czy też fabuła. O takich drobnostkach, jak dźwięk i sztuczna inteligencja nawet nie wspominając. Wszystko to sprawia, że stworzenie gry idealnej nie jest tak łatwe, jakby mogło się wydawać.

Im dalej w las, tym więcej poziomów decyzyjnych. Oprócz tworzenia nowych projektów, należy również dbać o rozwój technologiczny firmy, pracować nad własnym silnikiem czy chociażby prowadzić szczątkowy marketing, napędzający tak bardzo pożą-





dany przedpremierowy hype. A wraz z nim idą fani, wyczekujący nawet najmniejszej informacji na temat ich ukochanej gry.

Przez kilka pierwszych godzin spędzonych z **Game Dev Tycoon** zachwyca przede wszystkim poziom zaawansowania i liczba opcji. Później orientujemy się jednak, że wszystko to jest dość sztuczne i mocno powtarzalne. I niestety z tego też względu monotonia wkrada się do rozgrywki bardzo szybko, sprawiając, że do gry nie chce się po prostu wracać.

Game Dev ma jednak dodatkową wartość. Jest nią historia branży gier komputerowych opisana w niezwykle dokładny sposób. Poszczególne wydarzenia, które faktycznie miały miejsce, pojawiają się w postaci barwnych opisów. Co prawda ze względu na brak licencji wszelkie marki mają karykaturalny wydźwięk, jednak każdy bardzo szybko się połapie, co jest co.

Kto bowiem nie kojarzy japońskiego Ninvento czy konsoli PlayStation?

Jak na grę ekonomiczną zdecydowanie za mało tu różnego rodzaju zależności. Początkowo możliwości decyzyjne przytłaczają, w późniejszym etapie rozgrywka robi się bardziej prostolinijna i mało skomplikowana. A nie o to przecież chodziło.

Mimo wszystko warto dać tej grze szansę. Na oficjalnej stronie twórców można ją kupić za niecałe 8 dolarów, co jest kwotą niezwykle atrakcyjną, jeżeli weźmiemy pod uwagę ilość nietypowej rozrywki, jaką **Game Dev Tycoon** oferuje. Płacąc teraz, dajemy światło dla przyszłych projektów tego studia. A widać, że chłopaki mają potencjał do stworzenia czegoś naprawdę niebywałego.

Wojciech Onysków

Innowacja jest *passé*

Można zauważyć pewien dość mocno postępujący trend. Producenci gier boją się inwestować w nowe marki, natomiast bardzo chętnie sięgają po stare i sprawdzone tytuły, przeinaczając je na swój sposób i wydając jako remake. Ostatnie słowo jest zresztą bardzo chwytliwe. Remake tu, remake tam. Wszędzie dostawiają te „HD”, byleby się dobrze sprzedało.

Idąc na łatwiznę

Któż nie kupi odświeżonej wersji **Baldur's Gate**, skoro ładnych kilka lat temu, jeszcze jako młokos, zagrywał się w oryginał? Specjaliści od marketingu już jakiś czas temu zdali sobie sprawę, jak mocno na decyzję o zakupie wpływa głęboko zakorzeniona w graczach nostalgia. I wykorzystują to do cna, tłamsząc zarówno swoją godność, jak i dobre imię wykorzystywanej marki.

Mało jest tytułów, które odświeżone po latach spełniają oczekiwania fanów. Czasy się zmieniają, a wraz z nimi metamorfozie ulegają także nasze preferencje. To, co bawiło nas kilka lat temu, niekoniecznie musi się teraz podobać. Sprawa wydaje się oczywista, jednak poczynania wydawców zdają się mówić coś zupełnie innego.

Żerując na marce

Mimo wszystko klasyczny remake, który oprócz tekstur w wysokiej rozdzielczości nie posiada innych modyfikacji, zdaje się całkowicie nieszkodliwy. Ot, zwykła chęć wydawcy do przytulenia kilku dodatkowych groszy. W takiej sytuacji fani mogą nawet zyskać. Cóż takiego? Komfort bezproblemowego uruchomienia gry na nowszym sprzęcie.

Sprawa wygląda jednak znacznie gorzej, gdy ktoś całkowicie niedoświadczony, bądź też nieczujący oryginalnego klimatu, kładzie swoje łapska na kultowym tytule i mówi – „zrobimy restart serii, będzie jeszcze lepiej niż kilka(naście) lat temu”. W taki sposób dwukrotnie pod nóż poszła seria **Need for Speed**, najpierw **Hot Pursuit**, nieco później **Most Wanted**. Tytuły, które były uwielbiane przez olbrzymie grono graczy.

Celowo napisałem „były”, gdyż wspomnienia bardzo szybko się zacierają, szczególnie jeżeli odpalimy nowszą, bardziej „odpicowaną” wersję naszej ulubionej gry. W przypadku **Need for Speed** za zbrodnię odpowiedzialne jest studio Criterion. To samo, które dało nam genialnego **Burnouta**. Dlaczego zatem w przypadku remake'u sprawę spieprzono koncertowo? Studiu pomysłowości odmówić nie można, jednakże elementy, które sprawdziły się we własnej serii, niekoniecznie muszą zadziałać w marce, która przez lata pracowała na swoją opinię. Aż strach pomyśleć, kiedy spragnieni zielonych banknotów wydawcy położą łapska na serii **Underground**. A wcześniej czy później to się stanie.

Capcom rozważa restart **Resident Evil**. Epic Games chciałoby powrócić do



Unreal. *Devil May Cry* już zaliczył ponowny (fal)start. Jedynym tytułem zgodnym z nową modą, który potrafi obrobić się swoją jakością, okazał się **Tomb Raider**. Choć i tu niektórzy fani pokręcają nosem, w końcu nowa Lara w niczym nie przypomina dobrze znanej pani archeolog. Nawet krągłości już nie te.

A to jeszcze nie koniec wskrzeszania umarłych. Atari ogłosiło bankructwo. Pod młotek poszły wszystkie jej najznamienitsze serie. Na nowych właścicieli czekają między innymi **RollerCoaster Tycoon**, **Total Annihilation** i **Test Drive**. Dorobek 40-letniej legendy zostanie rozdrapany, a prawa do poszczególnych tytułów nabędą mało znaczący producenci. Podpierając się sławną nazwą, spróbują wykorzystać swoje pięć minut. Tylko drugiego **Ponga** to oni nie stworzą.

Restart serii może przynieść oczekiwany sukces, jeżeli zabrają się za nią prawowici właściciele marki. Udowadniają to panowie ze Stainless Games, którzy przygotowują nowego **Carmageddona**, zgodnego z duchem swojego przodka. Tryskająca spod kół jucha być może przywróci nadzieję w sercach wielu graczy.

Innowacja kluczem do sukcesu

Tymczasem warto inwestować w nowe marki. Seria **Dead Space** udowodniła, że świeże pomysły są na wagę złota. Podobne wrażenie wywołał **Assassin's Creed** kilka lat temu. Tytuły te co prawda zostały rozmienione na drobne poprzez nadmierną eksploatację, jednak fakt pozostaje faktem – gracze uwielbiają dostawać coś nowego, unikalnego. Stąd też bierze się wysoka popularność produkcji niezależnych. Przekonali się o tym również twórcy **Dishonored** – ryzyko w ich przypadku się opłaciło.

Być może jednak nie jest tak źle, a moje narzekania są wyolbrzymione, wszak na horyzoncie majaczy kilka dobrze rokujących serii. **Remember Me**, **Watch Dogs** czy **The Last of Us** to tylko jedno z wielu pretendentów do miana tych najlepszych. Jedno jest jednak pewne – dopóki Activision nie zaprzestanie produkcji **Call of Duty**, a Electronic Arts nie pogrzebie **Need for Speeda**, rynek będzie zalewany mało oryginalnymi i wtórnymi gniotami. Na rewolucję raczej się nie zanoszą.

Wojciech Onyszków

